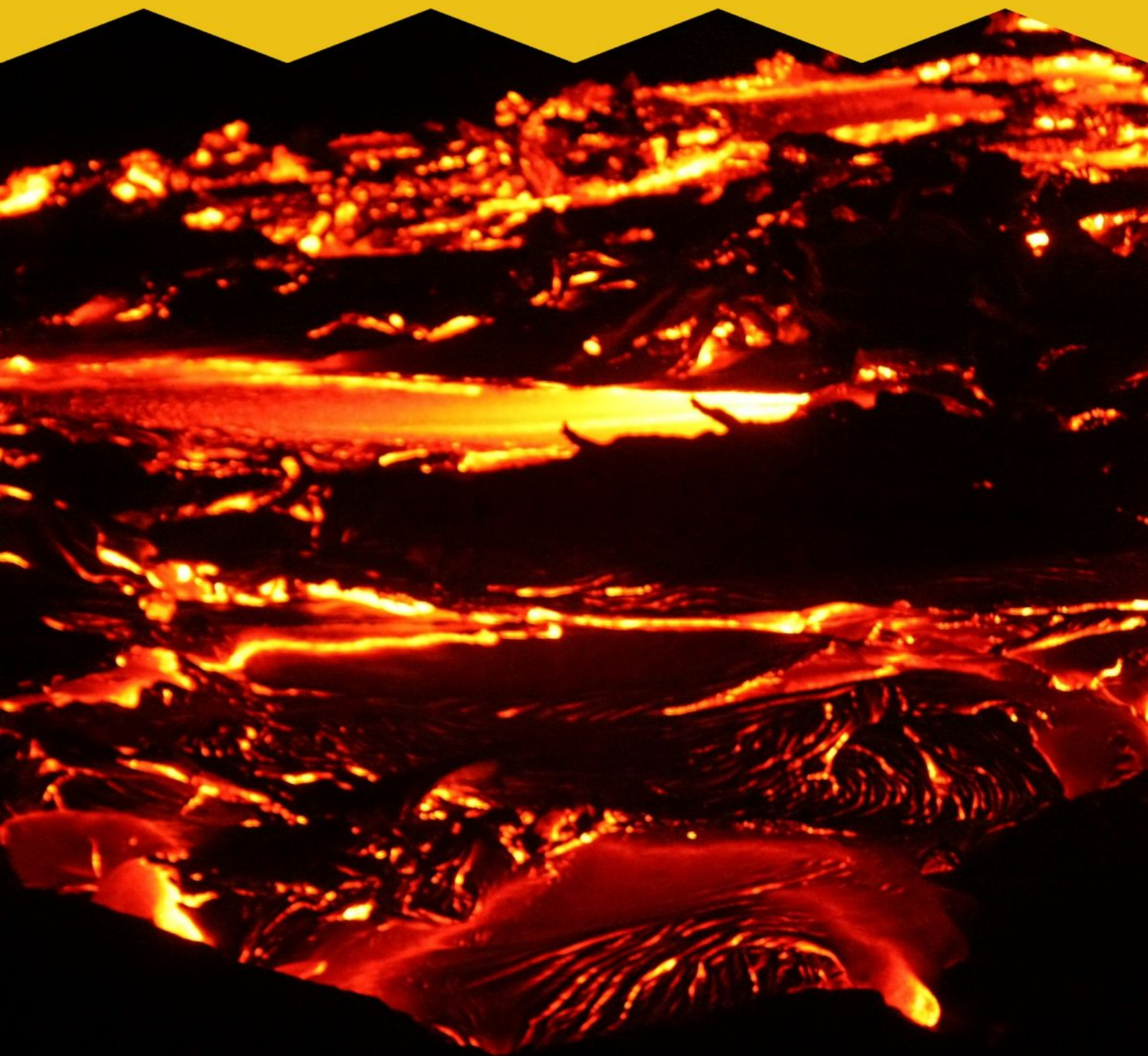


Djabeł, tom czwarty





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Djabet

POWIEŚĆ Z CZASÓW STANISŁAWA AUGUSTA

TOM IV

I

Pan podkomorzy brański, który zobaczywszy Anusię rozgorzał nie pomału (bo go płomień nie wiele kosztował, ale i ostygnięcie nie było trudne) — człowiekiem był lekko-myślnym nad wszelkie pojęcie, życie gotów zawsze postawić za to, co jutro by przez okno wyrzucił.

Z młodości nic nie stawiało tamy rozhukanym jego namiętnościom, los dziwnie mu sprzyjał i z najtrudniejszych okoliczności jakby cudem zawsze wywikłał. Ztąd wyrobiło się w nim zuchwalstwo niesłychane i rzucanie się bezmyślnie na wszystko co dogadzało chwilowej bodaj fantazji. Szał u niego nie rodził się z namiętności, ale z nałogu dogodzenia sobie. Serce dawno w nim spało zdrętwione zepsuciem, głowa tylko gorzała i ciało się miało. Był on jedną z tych postaci, jakie się zapewne trafiają we wszystkich krajach i czasach, ale miał na sobie cechy epoki i miejsca — epoki, co rozpasywała ludzi właśnie jak konanie, co niekiedy martwy język i myśli uszione rozwiąże.

Dla niego wszystko w nim tylko było. Świat miał za rzecz dodatkową, na służbę jemu skazaną — myśl nigdy nie poszła wyżej, serce nie zbudziło się z letargu. Dalej! bądź co bądź — było jedynym jego hasłem. Rodzina patrzyła z przestachem na to wyuzdanie młodzieńca, który jak ów senny chodzący po dachu, co chwila mógł spaść i rozbić się w kawałki, ale osobliwsze jakieś strzegło go szczęście, jakaś niewidoma opiekowała się nim ręką... Miał podkomorzy silnego i nieznużonego opiekuna w królu, protektorkę naturalną w familji, która nim władała, ale oboje to nie starczyłoby jeszcze, gdyby nie osobiste jego szczęście.

Tracił ogromnie i zawsze miał co tracić, narażał się i wychodził cało, szalał a nie mógł nic splatać coby go zgubiło; nadużywał sił, zdrowia, ludzi, pieniędzy, a miał je zawsze na zawołanie.

Powszechnie też tego wesołego utracjusza i hulakę zwano dzieckiem fortuny, i on sam przywykł w swoją gwiazdę wierzyć, jak gdyby się nigdy zaćmić nie miała. Zresztą był to, jak wielu jego społecznych, więcej roztrzęsiony i zepsuty niżeli zły człowiek, uniewinniło go wychowanie, przykłady, nałóg!! Był czego zażądał, nie znał co to niepodobieństwo, ani mierzył wartością rzeczy starania się o nią, ale żądza swoją — a żądza wzrastała najłżejszym podrażnieniem, zaporą, trudnością. Trafiło się, że podkomorzy tracił tysiącami dukatów dla tych co byli do zbycia za talara — byle kamyczek na drodze leżał między nim a niemi.

Rozchodzące się opowiadania o piękności Anusi, o surowem jej zamknięciu, — powtarzane nietylko w mieście, gdzie po salonach za wachlarzami zmyśloną historję damy sobie podawały, ale nawet w zamku, dostateczne były do podżegnienia pana podkomorzego brańskiego. Wejrzenie jego na Anusię, którą znalazł wcale inaczej niż myślał, zaostrzyło tylko chęci, nie zmieniło zamiarów. Może też wdzięk niewinności, woń prostoty, nowa dla niego co obcował z zepsuciem miejskiem, urok jakiś miały pociągający. Słowem, podkomorzy rozgorzał, oszalał, głowę sobie nią nabił i pokoju nie mając, gryzł ustawicznie palce (jak był przywykł) myśląc jakby się do Anusi przybliżyć, jak ją pochwyć.

Posłał zaraz szpiegów swoich na zwiady, a nim parę dni minęły, miał już dokładniejszą nieco wiadomość kto była Anusia, jakie ją z podczasycem łączyły stosunki i widział jak trudno mu będzie zbliżyć się do niej. Wiadomość ta ukazując mu same przeszkody, zraziła go nieco, ale cofać się przecie nie myślał. Już się był kilku poufałym zwierzył swojego projektu, a że nic w sobie utrzymać nie mógł, zaraz też przed niemi żalić się począł, jak mu to ciężko szło, że Anusia była dziewczęciem prostem i poczciwym, wychowanem na wsi, że sposobu prawie nie ma do niej dostąpić; przyjaciele rozśmieli się na całe gardło.

— A! a! podkomorzy się cofa! — zawołano — za trudno! przecież trafiła kosa na kamień!

— Ja się cofam — wykrzyknął bijąc pięścią o stół zapaleniec — tego jeszcze nie bywało i nie będzie! Idę w zakład jeśli chcecie, że za tydzień Anusia gospodarować nam będzie w moim domku na Nalewkach.

Podkomorzy, wzorem owych sławnych domków zwierzyńca *parc aux cerfs*, miał domek urządzony na Nalewkach, gdzie ulubienice trzymał i dawał niekiedy poufałym swoim wieczorki i baliki bardzo głośne.

Słowo się tedy rzekło, pochwycono je, potrzeba było dotrzymać! Podkomorzy zagryzł palce do krwi, natarł głowę, ale zaklął się że na swoim postawi... Sam tu nie wiele mógł zrobić, musiał użyć zwykłych swoich pomocników, kamerdynera Syxtyńka (rodem ze Lwowa, który ze się gdzieś znalazł na ulicy Syxtówką zwanej i nazwisko też od niej otrzymał) i niejakiej Szwędzkiej. Syxtynek na ten raz nie bardzo mógł usłużyć, na Szwędzkiej cała spoczywała nadzieja.

Były to wybitne swego czasu postacie, których lekko zbyć niepodobna. Syxtynek, łotr kamerdynier, bo jaki pan taki kram, ale łotr elegant co się zowie, z góry traktujący nie tylko kamerdynierów braci, ale szlachtę szaraczkową, równie jak pan ufał w szczęście i broił niesłychanie, rachując na podkomorzego, że go i z pod szubienicy wyciągnie. Zuchwała sztuka, miał się za równego wszystkim, a jeśli raczył przed królem uchylić kapelusza, to raczej przez bojaźń kija niżeli uszanowanie. Miał on tyle dowcipu i sprytu, że w potrzebie mógł z siebie na chwilę i dosyć potulnego zrobić człowieka, ale zawsze grał rolę panicza i udawał że panu podkomorzemu przez przyjaźń tylko służy. Że go pochodzenie i nazwisko piekło, zrobił sobie jakąś romantyczną historją swego rodu, którą często na plac najbezczelniej wyciągając, od jakiegoś hrabiego Syxta w prostej linii się prowadził.

Madame Szwędzka chodziła wszędzie z tym francuzkim tytułem bardzo słusznie, raz że podobno miała w początku sklep modniarski, powtóre, że zajęcie jej i rola wcale nie polskie, francuzką ją czyniły. O pochodzeniu tej awanturnicy nikt nie wiedział, ani z kąd się wzięła w Warszawie; jakiś akcent cudzoziemski w mowie się jej przebijał, a rysy też nie były tutejsze. Ciemnej płci, oczów czarnych żywych, twarz już około czterdziesto-letnia ale jeszcze resztki piękności starannie pielęgnująca, gadatliwa, ruchawa, żwawa, bezczelna, znała cały świat, tylnemi drzwiami bywała nawet w zamku u Bruneta, w każdym pałacu miała jakieś stosunki, jeździła koczkiem, ubierała się wytwornie, szczebiotała po francuzku, a krąg jej znajomości tak się rozciągał szeroko, że z jednej strony dotykając antykamery króla, z drugiej zajmował uliczną tłuszcę i najbrudniejsze szynkownie.

Mieszkała na ulicy Bednarskiej, w swoim podobno własnym domu, tajemniczej kryjówce, do której wchodziło się przez trzy bramy: od przodu, z tyłu i z boku. Wrota były zaryglowane, straż pilna, a kto wie co się działo wewnątrz! Niezmiernie zawsze zajęta, madame Szwędzka we dnie prawie się nie pokazywała, lub jeździła *incognito*, wieczorem dopiero puszczała się w świat za swemi interesami. Co robiła a czego nie robiła, określić niezmiernie trudno.

Wozila listy, bileciki, czasem jeździła aż na wieś i powracała często nie sama, ale z ładnemi towarzyszkami, sprzedawała brylanty, zegarki, koronki, podejmowała się tajemnych prezentów, intrygowała na wszelkie sposoby, wpływała nawet ubocznie do facjend majątkowych i politycznych. Nikt nigdy się nie przyznawał głośno do znajomości z nią, ale mało kto naówczas jej nie używał w jakimś krytycznym razie. Rozumie się, że madame Szwędzka jeździła, posłowała, pośredniczyła i krzątała się nie darmo, dobre umiając ciągnąć zyski ze swego generalnego faktorstwa. Cnotą, która ją wzniosła na wysoki popularności stopień, głównym przymiotem, była niesłychana zręczność i dyskrecja. Nigdy nie skompromitowała nikogo, ani dobrowolnie, ani przypadkiem, nie dała się złapać za język ani za pismo, milczała doskonale. W razie biedy wykręcała się sama przemożnemi wpływami, ale za sobą nie pociągała nikogo.

W owych czasach intryg, miłostek, facjend, przekupstwa, tajemnic, silny był pomocnik do wszystkiego z madame Szwędzkiej.

Kto ją mógł mieć, pewien był swego, ale tego sprzymierzeńca pozyskać nie było łatwo: co dzień stawiała się droższą, dumniejszą, kapryśniejszą, mniej przystępną. Czasu tego sejm, i napływ osób i namiętności, dawał jej ogrom zajęcia, i zbogacił był znacznie. Przebąkiwała już, że chce sobie wyszukać męża i usunąć się od interesów (*se retirer des affaires*), a resztę życia spokojnie gdzie na wsi przepędzić.

Nic ją bardziej nie gniewało nad niezręczność, bo doświadczenie i dowcip uposażyły ją samą w najosobliwszą trafność do wszelkiego rodzaju robót. Dla niej także nie było niepodobieństwa; trafiła do każdego, poczynając tylko od pytania: a co on lubi? nie znała co to drzwi niedostępne, co ludzie nieużywi.

Szwędzka na wielkim świecie miała ulubionych kilku klientów, do których liczyli się koryfeusze partji hetmańskiej, dawniej książę podskarbi i kasztelan, ale dwóch ostatnich rzuciła, jednego, gdy go pod sąd oddano, drugiego, gdy oratorem z profesji został. Ocierając się o ludzi, pomimo podszewki gburowskiej która się zawsze w niej przebijała, tak się była powierzchownie otarła, tak nabrała manieri świata, że przez godzinę jaką mogła by była w najlepszym mieścić się towarzystwie; a gdy chciała, tak grała rolę głupowatej, cnotliwej, skromnej, że oszukała by każdego. Niepospolita aktorka umiała ludzi na pamięć i korzystała potężnie z tej umiejętności. Chciwa, dumna, bezczelna, miała wszystkie wady swego stanu, ale w wysokim stopniu posiadała jego przymioty.

Podkomorzy jak skoro przysiągł mieć Anusię, poleciał zaraz sam do Szwędzkiej, nie chcąc czekać póki wezwana przyjechać raczy. Ledwie się dostawszy do bramy od tyłu, ledwie wymodliwszy posłuchanie, musiał jeszcze czekać, bo jejmość była na konferencji z jakąś tajemniczą figurą, która przybyła najętą kareta i weszła tak zakwefiona, żeby jej i djabeł nie poznał.

Po odprowadzeniu tej pani do powozu, madame wyszła nareszcie do podkomorzego zafrasowane trąc czoło. Przyjmowała go może umyślnie w małym trochę przyćmionym saloniku, z którego aż czworo drzwi, w cztery wiodły strony. Pokój to był mimo dość przyzwoitego i wykwintnego niby przybrania, tchnący bezceństwem jakimś... była w nim jakaś woń zbyteczna, woń rozpusty, co się oblewa wyciskiem wszystkich kwiatów by straconą świeżość niemi nagrodzić... drzwi jego patrzyły złowrogo, posadzka zdawała się miejscami jakby krwią zaschlą po zbrodni poplamiona, każde krzesło spowiadać się zdawało z jakiegoś występku którego było świadkiem. Na dwóch fałsz-marmurowych słupach stały dwa piękne ale pęknięte wazon, których szczyby kto wie jak powstały?

Zasłony okien zdawały się potargane, pomięte, jakby je kiedyś konwulsyjna chwyciła ręka, zostawiając ślad gwałtu — powietrze było ciężkie i lochowe... Światło padało ukosnie, niechętnie i zmieniało się w fałszywy jakiś odblask, który kłamał na twarzach czego w nich nie było. Ale podkomorzy zajęty swoją sprawą, nie miał czasu zastanawiać się nad fizjognomią salonu, i szybko zbliżył się do madame. Ona w progu, starannie jednak drzwi za sobą zamknawszy, plasnęła w ręce, kiwając głową ze śmiechem.

— A! a! cóż to za niespodziany gość u mnie! musi ci być gorąco podkomorzuniu (zwała wszystkich bez ceremonji, spieszczając tylko tytuł lub imię) kiedyś się aż sam do mnie pofatygował.

— Szwęsiu, kochanie, chodzi o mój honor... i o... serce. Oboje w niebezpieczeństwie...

— O! o! już się pali jak jasna świeca! — zawołała jejmość, kręcąc głową ze zbladłym uśmiechem — a jak nie w porę przychodzisz! nie wyobrażasz sobie co mam na głowie, półtory kopy najtrudniejszych interesów...

— No, to jednym więcej nie zawadzi.

— A daj mi pokój! ty ze swoim musisz kolei czekać (wiedziała komu to mówiła).

Podkomorzy obrócił się na nodze i syknął.

— A idź do diabła z poczekaniem! oto mi słowo!

Madame śmiejąc się z trafności swojej rzuciła się na kanapę.

— No mów — nie mam czasu, krótko a węzłowato.

— Naprzód słowo że się podejmiesz.

— Zobaczę.

— Tu nie ma zobaczeń — potrzeba, musisz i kwita. Dam co zechcesz a zrobisz co powiem.

— Dam co zechcesz! — powtórzyła ruszając ramionami. — Jaki mi pan! no! gadaj!

W tem spojrziała jakby dla zobaczenia godziny na kameryzowany zegareczek wiszący u pasa, śliczne caceczko.

— Mów! nie mam czasu, *parole d'honneur!*

Poczęła się bawić zegareczkiem. Podkomorzy zobaczywszy go kwaśno się skrzywił, bo już rozumiał o co idzie.

— Ale naprzód — przerwała kładąc mu rękę z zegarkiem na kolanach — kupisz sobie u mnie to cacko... Śliczny pektoralik! same brylanty warte z 50 dukatów! a żebyś

jeszcze wiedział w jakiej była potrzebie ta co mi go kazała sprzedać... co to za śliczniutki buziaczek! Dobrze żeś przyszedł, to go kupisz.

— A kupię! kupię! — trochę kwaśno rzekł podkomorzy.

— Otóż jeden interes skończony... dasz mi tylko sto dukatów.

Podkomorzy syknął, zagryzł palce, ale się nie sprzeciwił.

— Wstydz się, już syknasz! co to znaczy sto dukatów — *une misère!* teraz mów.

Podkomorzy począł całą historją Anusi i swoją, ale mu dończyć nie dała madame, domyślając się połowy. — Podumała nieco.

— Sprawa trudna, dziewczyna ze wsi, nie uboga może! zakochana, uczciwa! a to śliczną mi swatasz robotę, niech cię kaduk porwie!

— Szczęściu, ale to zrobić się musi.

Kiwnęła głową.

— Potrzeba czasu.

— Trzy dni.

— Zwarjowałeś!

— No, to cztery...

— Najmniej tydzień.

— Nie sposób!

— Cóż myślisz na to sakryfikować? — zapytała wpatrując mu się w oczy.

— Ceny nie naznaczam.

— Szalony! — szepnęła ruszając ramionami — no! ale naprzód zapłać za zegarek.

Podkomorzy wyciągnął rękę po cacko, ale Szczęścia swoją cofnęła.

— Alboż myślisz go wziąć?

— A cóż kiedy kupuję!

— Kupujesz, ale mi go darować musisz, inaczej ani się podejmę interesu, tysiąc ich mam na głowie, idź do licha.

Zwróciła się ku drzwiom.

Podkomorzy dobył sakiewki, popatrzał na nią, ale coś wyglądało chudo.

— Pieniądze — rzekł — odeszł ci za godzinę, ale interes zrobisz.

— Dla ciebie podkomorzuniu jakże tego nie zrobić! szydersko uśmiechając się odparła Szczędzka i podała mu rękę — no! no! bądź spokojny a siedź cicho! Gdy będzie potrzeba to ci dam znać.

II

Nazajutrz rano szedł pan Kasper Sieniński z kościoła od św. Jana, a obok niego zakwefiona kobiecina, w której, najwprawniejszemu oku trudno było poznać wczorajszą madame Szczędkę; chociaż nie kto inny mu towarzyszył. Ale jakże się zmieniła! co za spokój na jej twarzy tchnącej skromnością i smutkiem, jak niewykwintny ubiór, jaka obojętność i powolność ruchów!

Pan Kasper toczył z nią rozmowę po drodze, prowadząc ją do swego dworku.

— Jakże to być może — mówiła madame — żeb waćpan dobrodziej nie przypominał mnie sobie? Byłam naówczas na respekcie u JO. księcia kasztelana...

— Przyznam się waćpani dobrodziejce — odparł pan Kasper — że ja naówczas pokojowcem będąc, od czego (*intra parenthesim*) i najlepsza szlachta poczyniała — nie śmiałem ani oczów podnieść na respektowe panienki, a waćpani dobrodziejka musiałaś być chyba bardzo młodziutką, prawie dzieckiem.

— Tak jest, prawie dzieckiem — szybko dodała pani Szczędzka i westchnęła. — A co to za święty, bogobojny był dom księstwa kasztelaństwa... a sama pani! anioł!

— Święta, istotnie święta osoba! — rzekł pan Kasper.

— A sam-że? co to za dobroć. Ani się kiedy ofuknąć umiał, choć mu figle nie małe płatano. Bywało w największej złości nogą tylko tupnie i już bardzo źle, kiedy sobie zamiast przekleństwa krzyknie — *mirabilia!*

— A! a! pamiętam to jego przysłowie! to też go przyjaciele i nieprzyjaciele zwali z tego powodu ksiązę *mirabilis*, a że JO. pani była trochę czerwona, to ją czasem jak śliwkę *mirabellę* nazywali...

Szczędzka się dobrodusznie rozśmiała.

— Ale jakże się to dzieje, że pani się dostała do Warszawy? — spytał Kasper.

— Długo by to było opowiadać — westchnęła madame — a nie ma co słuchać! ale chwala Bogu handelek mi tu poszedł, stosunki się porobiły niegorsze, i gdyby tak jeszcze udało się znaleźć uczciwego człowieka, co by się zaopiekował moim wdowieństwem, a zarządził tym groszem co się to uciula! — bo to tak samej kobiecie, trudno!

Chrząknął i odprostował się pan Kasper — na wspomnienie grosza dziwna myśl zaświtała mu w głowie; spojrzal uśmiechając się w oczy jejmości, czapki poprawił, pasa pociągnął, wąża podkręcił, czoło pogładził — ona oczki w dół spuściła skromnie.

— Tak samej kobiecie bez opieki — dodała — w takim mieście! ludzie często uczepią się, odra, oszukają, a niema się komu i ująć. Gdyby mi się tak stateczny człowiek trafił...

— Masz waćpani dobrodziejka słuszność, ale nie chłystek, stateczny, wytrawny, co by to grosza nie przehulał... choćby nie tak młody aby pewny...

— E! mnie tam wcale o młodość nie chodzi, mówiła ciągle wzdychając Szczęsia — chcę opiekuna! zbliżali się ku dworkowi, a pan Kasper co raz stawał się rezolutniejszy.

— A do mojej ubogiej chatki nie raczysz to waćpani dobrodziejka nóżką wstąpić? — zapytał grzecznie.

— Jeśli pan pozwolisz? — skromnie odezwała się kobiecina.

— Najgoręcej proszę mi ten honor wyrządzić, chociaż to ubogo, ubogo — ale bom ja oszczędny i z jutrem żyję, dodał cicho stary.

— Oszczędność to największa cnota! — odpowiedziała jejmość.

— Złota maksyma, jak Boga kocham — rzekł pan Kasper całując białą rączkę. — Pani mnie coraz mocniej za serce chwytasz — i poprawił się stary.

W tem zapukali do bramy, a Hołodryga wyściłił głowę — na widok nieznajomej kobiety wielkie oczy wytrzeszczył, otworzył furtkę za którą się ukrył i wpuścił wchodzących, sam zaraz pod Bernardyny ruszając.

Pani Szczędzka udając że nie wie kto we dworku zamieszkuje, weszła doń doskonale odgrywając rolę dewotki, z wielką księgą pod pachą, z ogromnym kokosowym różańcem w ręku. Pan Kasper nie mogąc jej przyjąć w swojej izdebce, musiał wprowadzić do średniego pokoju, gdzie właśnie samą zastali Anusię. W pierwszym wejrzeniu na nią nieostrożnem, łakomem, badawczem, dla innych ludzi byłaby się wydała niepoczciwa kobieta, tak jej oczy błysły szatańsko, ale nikt tego nie uważał, a ona rachowała na to i zaraz zakrzyczała w progę:

— A cóż to za niespodzianka! a toż jakie śliczne dziecię w pańskim domku? czy córka?

— Nie pani, mam honor przedstawić pani skarbnikowiczowej dobrodziejce (tak się mu kazała tytułować) synowicę moję, Annę Sienińską, wychowankę podczaszynej Ordynskiej, która tu z ojcem swym, a bratem moim, pod tę chwilę nieprzytomnym, samotność moję podziela.

— Ależ to cudny fioleczek ukrywający się w cieniu! zawołała Szczęsia, po przywitaniu siadając koło Anusi, która czegoś skłopotana i jakby przecuciem odepchnięta, odsuwała się trochę od dewotki. — Dawnoż to moje dziecię w Warszawie?

— Ja? od kilku miesięcy.

— I ciągle tu tak w kąteczku? — spytała przymilając się mniemana wdowa.

— Bardzo mi tu wesoło z ojcem i stryjem.

— Ależ to samotność nie dla twego wieku, kochane dziecię — dodała madame — to klasztor prawie. Waćpan dobrodziej — obróciła się do pana Kaspra — nie powinienesz tu tak dać więdnąć tej różyczce.

Pan Kasper nie wiedząc co odpowiedzieć ruszył tylko ramionami.

— A cóż — dodał po namyśle — myśmy ludzie prości, gdzie nam towarzystwa szukać, siedzim w kącie, Boga chwając po prostu.

— Cha! cha! panience by się i kawaler należał! — wpatrując się wciąż pilnie w Anusię, dodała Szczęsia, przesywając wzrokiem biedne zmieszane dziewczę — ale na to jeszcze czas.

— O! i bardzo! — mruknął Kasper.

— Jakże to szczęśliwie — przemówiła po chwili — że nas los do siebie zbliżył panie Sieniński, to u mnie przecie panienka — jakże imię?

— Anna! — szepnęło cicho dziewczę.

— U mnie panna Anna znaleźć może czasem rozrywkę, towarzystwo uczciwe, zabawę, mogę jej towarzyszyć do kościołów na nabożeństwo, przechadzkę, czasem i wieczorek u mnie spędzić weselej będzie. Ja bardzo lubię młode osoby, sama dzieci nie miałam, to się choć cudzemi chętnie otaczam.

— Bardzo dziękujemy pani — z galanterją rzekł stary przysiadując się nieco, a Anna przerwała:

— Ale ja się tu bynajmniej nie nudzę, ani towarzystwa pragnę, przywykłam do ciszy, spokoju i pracy.

— A to bardzo ślicznie — krygując się rzekła madame — bardzo ślicznie dla młodej panienki, bo to chroni od tysiąca niebezpieczeństw wśród tego zepsutego świata groźących, ale dla zdrowia i dla humoru nie wadzi niewinna rozrywka.

Anna zamilkła, Kasper czuł się w obowiązku potakiwać wdówce, która westchnęła.

— Oj bo to świat! świat ta nasza Warszawa! — odezwała się — co to za dwór! jakie to zepsucie, jacy mężczyźni, to imaginacją przechodzi!

— Rzeczywiście pani dobrodziejko — odparł Kasper — wzdrygam się patrząc — Sodoma i Gomora.

— A kościoły pustką, dodała Szwęsia.

— A hulanka bezustanna, i między panami i między sługami.

— Tak, że tu pocziwej kobiecie byle twarzyczka ładna, ani się na ulicę pokazać, spokoju niema od tych łotrów, mówiła dalej madame, z tego względu to dobrze że panna Anna nie bardzo rada wychodzi.

Rozmowa w ten sposób dosyć zręcznie prowadzona, trwała jeszcze chwilę, ale napróžno usiłowała różnemi sposoby Szwęsia przybliżyć się do Anusi, która czuła wstręt jakiś od pierwszego wejrzenia na mniemaną dewotkę. Nareszcie wstała wdowa i uśmiechnąwszy się do pana Kaspra, rachując na to że zaproszenie go do domu i przyjęcie w nim, większe na umyśle Sienińskich zrobić może wrażenie, zaproponowała staremu żeby ją przeprowadził i nawzajem odwiedził. Kasper, który już dziwne na wdówkę miał projekta, pochwycił chętnie życzenie, wziął czapkę i łaskę, podał jej rękę i powierzwszy Anusi straż domu, sam rzezko się zwijając wyszedł ze Szwęsią.

Wiedziała ona któremi go drzwiami wprowadzić do swego domu, zawróciła się do tylnej bramy na ten cel przeznaczonej, otwierającemu dała znak jakiś niepostrzeżony i nie powiodła Kaspra do owego saloniku, w którym widzieliśmy ją rozmawiającą z podkomorzym, ale do izdebek na dole, przyzwoicie, skromnie ubranych i jakąś pocziwą a dostojną minę mających. Całą drogę grała swą rolę z taką naturalnością, łatwością i precyzją, że staremu i przez głowę szalbierstwo przejść nie mogło.

I te dwa pokoiki! zdrajcy — jak grały pocziwe, spokojne życie! jak tu wszystko było w porządku, czysto, świeżo, wesoło i jasno. Kwiatki w okienku, łóżeczko wysłane wysoko a bielutkie gdyby śnieg! kluczyki na kolku, kanarek w klatce, dziewczyna prosta do usługi, mebliki stare i niewymyślne. Staremu się aż uśmiechało, gdy pomyślał że ta zacna wdówka może — może — może — starość jego uweseli. Nie widział w tem niepodobieństwa, a czuł się jeszcze na siłach zawrzeć dozgonne śluby. Tymczasem madame zaprosiła go na kawę, a nim ją podano (bardzo poprostu i po gospodarsku) zaczęła mu opowiadać o dawnym handlu, o dochodach jakie miała, o domu, o lokatorach i t. p.

Stary potakiwał, rozczułał się, a że co chwila niby przypadkiem dowiadywał się dokładniej o domniemanej ilości talarów w kuferku spoczywających, o które wdowa bardzo się jakoś turbowała — stawał się co raz czulszy, młodniał, a tak mu się podgolony łeb zawrócił, że wyszedłszy po ucałowaniu rączek rześistem, palnął głową o fórtkę, co mu się w życiu nigdy nie przytrafiło.

Ale co to może szal, kiedy w starem sercu obudzi się po niewczacie! Leciał do domu, żeby co prędzej w cztery oczy z bratem o tem pogadać i pochwalić się sperandą. Zastawszy go, nuż się rozpościerać szeroko! Pan Jan milczał, słuchał, ramionami ruszał, a że nie był świadkiem wszystkiego i Szwęsia nie wywarła nań wpływu, którym potrafiła obalamucić pana Kaspra — na zimno sądząc, domacał się w tem wszystkim coś podejrzanego. Dodać potrzeba, że ożenienie brata, z którego spadek na Anusię miał iść kiedyś, jakoś go niemile drasnęło.

Kasper widząc tę obojętność, a nawet znalazłszy niedowiarstwo, ofuknął się.

— Co bo to panie Janie! myślisz się oponować i nie podzielasz moich nadziei? — rzekł nieukontentowany.

— Ale to trochę waści panie Kasprze w głowie świta, coś tak nagle w godzinę już i znajomość i czułość i gotowość stanąć na kobiercu! licha wie co to takiego, a zapominasz żeś starszy odemnie i ze szpaka na łabędzia już kroisz.

— Co to za szpak! co to za szpak! krzyknął Kasper uniesiony, ale kawaler! ale krzepki, a nie jednego młodzika zakasuję. A to mosanie wdowa ciepła, pieczone i warzone, grosz, kamieniczka i porządeczek! a co to za ład, a jaka w domu oszczędność! a kufeczek żebyś wasan widział! Pocałować go, tak gada o talarkach.

— Ale nie jużby ona co młodszego sobie nie znalazła?

— Tereferę mosanie — to kobieta stateczna, pobożna, fiubździu w głowie nie ma, a nareszcie stara moja znajomość!

— Ale cóż o niej nie wspominałeś nigdy?

— Tak, terazem dopiero doskonale ją przypomniał, choć dobrze młodszą odemnie, bo taki niczego, wcale niczego, ale na żonę w sam raz! Powinno tak być mosanie — mąż wytrawny, jejmość hoża! I tak Bóg przykazał!

Zatarł ręce, przeszedł się.

— Oto by mnie los spotkał na starość! — rzekł — no!

Anna, która weszła na pół rozmowy, rozśmiała się aż ze stryja.

— Patrzcie no ją! i ten pusty dzieciak chichi ze mnie stroi! no? a czegoż się ty śmiejesz?

— Ale bo stryjasku, strasznie się po młodemu rwiesz do tego małżeństwa...

— Bom młody mościapanno! — huknął Kasper nie zważając na ruszanie ramion brata — wiodło się życie skromne, uczciwe, młodość siedzi w kieszeni caluteńka, anim z niej tyle nie uronił! Dość tych śmiechów, a co wiem to wiem! i co ma się zrobić, to się zrobi.

Ojciec i córka spojrzeli po sobie i umilkli. Nazajutrz rano, pan Kasper gdyby na fest wystrojony i odświeżony, drapnął *summo mane* jak sam mówił do kościoła, a tu w ławce na wczorejszem miejscu zastał już swoją znajomość modlącą się bardzo pobożnie i niezwracającą oczu na niego. Dopiero po nabożeństwie zeszli się u święconej wody, co p. Kasper wyrachował po młodemu i udało mu się zręcznie, bo ani czekał ani gonił, tak się z krokami wymierzył. Madame Szwęsia rozśmiała się w duchu z nowego kontusza i postawy odmłodzonej konkurenta. Wyszli tedy razem z kościoła, jedną mając do przebycia drogę.

Mijali bramę Krakowską, pod którą jak zwykle śniadał sobie Orlandini; Włoch przyjrzał się dobrze przechodzącej kobiecie i znanemu sobie panu Kasprowi, zdziwił widząc ich razem i pokiwał głową.

— O ho! — rzekł — Madame Szelmosia (nie lubił tej niegdyś swej współzawodnicy) coś już kluje — uczepiła się starego, nie bez kozery.

I rozśmiał się Orlandini na całe gardło gdy go mijali, chcąc Szwęsię zmusić żeby się obejrzała, ale łotrzyca czując się poznaną przez nieprzyjaciela, nie odwróciła głowy i pośpiesznie ciągnęła dalej ku dworkowi pana Kaspra.

Jan teraz czekał powrotu brata, domyślając się a nuż go znów wdówka odwiedzi, rad był w oczy jej zajrzeć. Szwęsia jak wczoraj chcąc się powoli przybliżyć do Anny i oswoić ją z sobą, dała się na spoczynek zaprosić. W pochmurnej minie i najeżonym wąsie Sienińskiego domyśliła się coś nieprzyjemnego, więc trochę odłożywszy na potem pana Kaspra, który się musiał odchrząkiwaniem głośnym i otworzeniem tabakierki przypominać, starając uwagę zwrócić na siebie, wzięła się jejmość do ojca Anny i do niej.

Rozpoczęła się rozmowa jakkolwiek chłodna, ale tak zręcznie prowadzona, że w pół godziny pan Jan został pokonany, a Anna nawet śmieiej coraz i weselej spoglądała na skarbnikowiczowę! O! jak bo na to pracowała udając i poczciwą, i bojaźliwą, słabą istotę, której jedynym celem spokój, nabożeństwo, kawalek chleba na starość.

Wyszła, a Jan z bratem zostawszy w sieni pokiwał głową.

— No! no! — rzekł — istotnie ekstraordinaryjnie miła kobiecina, coś nawet zdaje się tak potulnego, poczciwego! ale to nie dla waści, młoda jeszcze, co się zowie młoda!

— A waćpan mi ciągle tym szpakiem w oczy rzucasz!

— To włoż-że perukę kiedyć to wadzi — odparł Jan — co oko widzi to gęba mówi! Nie dziw że ci wiek przypomnę, dobrze wiedząc kiedyś się urodził, *anno* jeszcze...

— Po co te przypomnienia — przerwał Kasper — stary, no to stary, ale jary! i kwita! i kwita! Aleś się jak wmość co drzemiesz ciągle nie wyżył i nie zszarzał. A wdówka! prawda — *ut sic!*

Złożył cztery palce w kupkę i pocałował.

— Co prawda to prawda — miła! nieszpeta kobiecina, a mówisz że i grosz jest?

— Ba, cicho szepnął Kasper polykając ślinkę.

Kamienica! porządki i — kufereczek! kufercio! a! Albow bardzo tępy, albo tak lekko ceniąc, kilkanaście tysięcy talarów oszacować je można — posażek piękny! a żem kawaler, dodał mrugając oczkiem siwak — ona wdowa, zapis mi się należy — *to rerum natura!*

Jan milczał, Anna się śmiała, bo byli weszli do izby i tu już rozprawiali...

— Nie zapominajże Anusiu, żeśmy do niej zaproszeni wszyscy na poobiednią kawę, dołożył Kasper — zobaczycie ją w domu! rządna niewiasta!

Słodkie uśmiechy i słówka mniemanej wdowy nie ułudziły dotąd Anny, nie wzięły ją wcale za serce, ale w tęsknem jej życiu, ta rozrywka którą obiecywała nowa znajomość, nie była do odrzucenia. Nie gniewała się że jej ktoś przybędzie, do kogo czasem słowo przemówić by można, u kogo trochę się rozerwać w smutku. Po obiedzie ubrała się skromnie ale starannie, a że pan Kasper wciąż na stary srebrny zegarek spoglądał, któremu że większego indexa brakło, pokazywał co chciał i co mu kazano, przed czwartą jeszcze ruszyli w odwiedzinę.

Szwęsia przyjęła ich znowu na dole, w tych dwóch dość ciasnych izdebkach, przystrojonych tak skromnie i pocziwie; przybranie ich do okoliczności było całkowicie komedią, utworem artysty. Ani Anna ani jej ojciec nie dojrżeli najmniejszego fałszu, bo całe życie ze wszystkimi szczegółami tak było odgadnione doskonale i schwyte żywo, jakby w istocie w tych izdebkach żył kto, tęsknił, nudził się i płakał. I książka pobożna i krzyżyk i palma sucha, wygodki, poduszka i podnózek wszystko było na miejscu, a przecie te izdebki były ubrane dla Sienińskich tylko, i do wdowiego stanu służyły za dekoracją. Szwęsia była niewyczerpaną w podobnych conceptach i stawiała się każdemu jak było potrzeba, nigdy nie zaniedbując scenicznych akcesoriów.

W progu już zastali jejmość w białym pudermantlu, wyświeżoną ale bez rózu i bielidła, które zwykle nosiła, pozornie bardzo uradowaną przybyciem gości, a jak zawsze skromną, cichą, łagodną.

Po smutnej izbie dworku, te pokoiki świeżutkie jeszcze, z trochę zieloności, ze spiewem kanarka, ze swym sprzętem wygodnym, uderzyły Annę i przypominając jej życie wiejskie, lży prawie wycisnęły z oczu. Rzuciła się do wazoników, zielonością ogród w Głuszy i kwiatki starościny przypominających, do kanarka... Szwęsia niby nic nie widząc, śledziła każdy jej ruch i lży nawet postrzegła.

— To doprawdy jakieś niewiniątko, powiedziała w duchu — z tem to kłopotu więcej niż warto — no! ale to nie moja rzecz!

Wkrótce podano kawę, na grzeczności dla Anny szczególnie siliła się wdówka, i tak dobrze udaną jakąś czułością potrafiła ją ku sobie pociągnąć, że chciwa przywiązania Anusia, nie potrafiła być całkiem niewdzięczną. Poczęła ją zwać przyjaciółką, spoufalać się, ośmielać. Pan Kasper rosnał, bo i jemu dostawały się choć okruchy oświadczeń i serdeczności; a wdowa dla niego umyślnie co raz to coś o talarach brząknęła, co go rozplómięło niesłychanie. Chodził poglądając nieznacznie na próżny ale dobrze zamknięty kuferek pokryty dywanikiem, stojący w drugiej izdebce przy samym łóżku, nie mógł się od tego nęcącego widoku oderwać. Oczy wdowy do reszty go durzyły, bo nań tak czule patrzała, jakby jutro iść mieli do ołtarza.

Kilka godzin zbiegły żywo na opowiadaniu o dworze księstwa kasztelaństwa, którego Szwęsia zdawała się znać na palcach, choć w życiu go nie widziała. Rozweselono nawet Anusie, i pan Jan który towarzyszył córce, po kawie się tylko na kufrze pod oknem trochę zdrzemnął wedle zwyczaju. Króciutko to trwało, przeszło nie postrzeżone i ujęło za serce pana Jana, powtarzał i o tem ciągle.

— Bardzo miła kobiecina! i taka gościnna! Ale sobie gacha wybrała! no! no!

Jeszcze w progu zapraszając serdecznie Anusie do siebie, pożegnała ich Szwęsia, a ledwie wyszli, przebrana inaczej, rzuciła się w czekający powóz i pojechała do podkomorzego.

Przez tych dni kilka nie miał on żadnej o losie swoim wiadomości, co go okrutnie jątrzyło, ale że mu kazano czekać, musiał, i w miarę jak nieprzywykły do cierpliwości

na zniesienie niepokoju się wysilał, rosły w nim żądze, pracowała głowa — byłby dał wszystko co chciano za Anusię, którą raz najrzał w życiu! Rozrywał się wprawdzie grając po nocach całych, ale że to było pod wieczór jakoś, jeszcze go w domu zastała madame, właśnie u toalety. Porzuciwszy więc fryzurę i puder, jak stał w białym pudermantlu, na wpół umączony, nie starłszy twarzy, poleciał do niej, drzwi kazawszy pozamykać.

Szwęsia siedziała już z nogami na kanapie, a ujrawszy podkomorzego w tym stroju, poczęła się śmiać, domyślając się jak go tam już niecierpliwość piekła.

— No, a cóż Szwęsiu kochanie! a co? — krzyknął wpadając podkomorzy i wcale nie obrażając się śmiechem jej.

— Podziękujże mi naprzód żem się do ciebie sama *en personne* fatygowała — a ślicznie mnie przyjmujesz! fe! co za paskudnik!

— Przepraszam cię, ale tak jestem ciekawy!

— A tu nic nie będzie! — chłodno powiedziała Szwędzka.

— Jakto! — wybuchnął gwałtownie podkomorzy łamiąc ręce — a tom zdyshonorowany.

Uśmiechnęła się tylko.

— Ale możeż być żebyś ty! ty! nic nie dokazała?

— Co myślisz! Dziewczyna po uszy rozkochana w Ordyńskim, prosta, głupia, ani do niej przystąpić. Otacza ją dwóch starych, wyschłych zakamieniałych dziadów, pilnując jak we łbie oka. I nic to interesów nie rozumie.

— Ani pieniędzy nawet?

— Albo to oni ich potrzebują?

— Ależ stryj skąpiec?

— Patrz! jak już wie! rozśmiała się Szwędzka i nagle ton zupełnie zmieniła — no — co mi dasz? to ci ją na Nalewki przywiozę, na dzień i godzinę naznaczoną.

— Co chcesz?

— Fe, myśli się targować!!

— Nie targuję się, ale pytam.

— Bądźże wspaniałym — zawołała Szwęsia po swojemu — sypnij! jest za co! nie ma co mówić! różyczka! I że przywiozę to pewna, ale dalej, dawaj sobie rady jak chcesz — ja się w to nie mieszam, i przepowiadam nawet że kłopot mieć będziesz.

Podkomorzy trochę się zamyślił.

— Co będzie to będzie — rzekł — ale pokażę ludziom że co zechcę to dostanę; w sobotę u mnie wieczór, gości hukiem, Anna musi mi pogospodarować.

— No, ale cóż mi dasz — rzucając nań okiem chciwem przerwała lotrzyca — mów-no co dasz?

— Mów co ci mam dać?

Wstała z kanapy jejmość i przeszła się po pokoju, niby namyślając.

— Siadaj i pisz weksel do Cabrego na...

Schyliła mu się do ucha.

Podkomorzy poszukał tylko kałamarza, chwilę podumał.

— To ci dam weksel w sobotę.

— A niewierny! — dumnie krzyknęła rozgniewana — no! to bywaj zdrów!

— Jakto? ale ja ci wierzę, tyłkom się chciał wprzód Cabremu opowiedzieć — podchwycił przestraszony podkomorzy — ale kiedy tak, na, bierz, byle tak było, jakem prosił.

— Słuchaj, na dzień i godzinę nie chybię, bo to moja rzecz, ale jak się z tego wywikłasz, co wyniknie, nie moja sprawa. Stworzenie całkiem dzikie, ażeby je ugłaskać, więcej potrzeba czasu, to już nie moja sprawa.

Podkomorzy pochmurny usiadł pisać, a madame chodząc po pokoju zobaczyła pierścionek leżący na stoliku, i włożyła go na palec bez ceremonji.

— A to na pamiątkę dla mnie — rzekła pokazując.

Podkomorzy tylko ramionami ruszył.

— Wartam i więcej bo prawdziwą robię dla podkomorzunia ofiarę.

— W sobotę na Nalewkach — przerwał gospodarz oddając weksel.

— Będę jak zacznie zmierzchać! Bądź zdrów podkomorzuniu. — Rozśmiała się szydersko mówiąc po cichu: — Tyle twego podobno, co się tymczasem naspodziewasz.

I kiwnąwszy mu głową na którą spuściła welon, znikła znajomemi sobie drzwiami.

III

Podczaszyc siedział jeszcze w klasztorze zamknięty, dumając i zżymając się na dziwne położenie swoje. Chwilowe myśli jego brały religijny kierunek, to znów niecierpliwił się i narzekał na losy. Od dni kilku dziwny jakiś smutek go trapił, któryby był nazwał przeczcuciem, gdyby filozofia Poinso'ta dozwoliła mu przypuścić ten fenomenalny stan ducha. Tłumaczono to podówczas zdrowiem, żołądkiem, mózgiem, chorobą, czem chcąc byle nie duszą, której upierano się nie widzieć w człowieku. Niespokojniejszy był niż kiedy, więzienie gorzej mu coraz ciężyło, nawet trochę umiejąca go ukolysać rozmowa O. Spirydiona, teraz drogi do serca, zawałonego jakimś ziemskim uczuciem, wynaleźć nie mogła. Starzec czekał ale wzdychał.

— Twarda natura do dobrego — mówił w sobie — rekluzja nawet pożyć jej nie może, przyjdzie może czas upamiętania, ale nie rychło... i kto wie czy przyjdzie?

Pomimo jednak zewnętrznych oznak zatwardziałości, podczaszyc zmieniony był znacznie swoim pobytom u kapucynów — nie otworzyło mu się serce ale zmiękło, nie poprawiły pojęcia, ale uznał że obok nich istnieją inne, mocą których ludzie w spokoju i zgodzie z sobą i światem żyją — rzucone było ziarno, choć nie schodziło jeszcze.

Sama ta tęsknota, która często poprzedza nawrócenie, dobrym już była znakiem, a zwrot częsty ku dzieciennym latom, symptomem pragnienia innych wrażeń i żywota. Żywił jak mógł ojciec Spirydjon dobre ziarenka chuchając na nie i pielęgnując, a czekając wschodu, nieraz też kto z gości poufałych klasztoru odwiedzał samotnika przychodząc w pomoc kapłanowi. Tu, do koła pocziwych księży, przy zacnym O. Spirydjonie, krążyły jeszcze ostatki lepszej społeczności, w szczątkach tylko pozostałej w stolicy — nie zepsutej niewiarą, bogatej w uczucia, które zapal religijny w duszy zasiewa.

Dziwnie zaprawdę wydawali się ci starcy podczaszycowi, który na nich spoglądał z ciekawością jak na istoty drugiego świata. Mało podobnych wówczas liczyła Warszawa, podzielona na kilka obozów stronnictwami politycznymi, a nie zamykająca w sobie jak drobną cząstkę tego, co starą Rzeczpospolitą reprezentować mogło. Najpocziwszym już wówczas paliły się głowy reformami dziwnymi, nowostkami, najlepszych doszła zaraza niewiary, obojętności religijnej i cudzoziemszczyzny.

Możemy sobie poniekąd wyobrazić jaki był, rzecz można, szal umysłów, gdy z najlepszymi chęciami, szukano dla kraju lekarstwa w ustawie, którą Russo siadał pisać na serjo. W tym sposobie działo się przecie wszystko — nie budowano na krajowym gruncie, z cudzej myśli przedzono przyszłość, chciano ją zasadzić latoroślą z pod innego nieba wziętą. Wyższa społeczność przy najpocziwszych życzeniach, błędziła wiedziona ideami wieku i z nich się wyplątać nie umiała, przywykła do lekceważenia co swoje. Na wsiaach tylko, po zagrodach panował jeszcze duch przeszłości dotąd nietknięty, i tam żyli ci co piastowali ostatek podać krajowych. Świat to był tak dalece różny od tego, który się wyrabiał w miejskich towarzystwa sferach, wyższych zwłaszcza, że każdy głos posła co pierwszy raz rzucił swą cichą chatę, by radzić na sejmie, brzmiał na nim jak z grobu wywołany, przed stu-letnią myślą. I głuchły te głosy nie wielu, niepojęte, niesłuchane, wyśmiewane najczęściej, zagłuszane krzykami kilku gardlaczy, gdy, jak współczesny jeden pamflet powiada — Branicki z Sapiehą knuli rzeczy po cichu, Suchorzewski i Suchodolski imponowali sejmowi, Zaleski i Mikorski coraz to nowe poddawali projekta, książę jenerał i Stanisław Potocki ustawnie perswadowali, Byszewski i Łączyński milczeli, a król jegomość cierpliwie znosił wszystko.

Ta więc społeczność nieznana podczaszycowi, której próbki miał zręczność poznać u kapucynów, była dlań zupełną nowością. Byli to ludzie, których ubóstwo i wieś uchroniły od nabrania poloru wieku, u których tradycja czczoną jeszcze była i szanowaną jak arka narodowa, ostatnie niedobitki rzeczypospolitej Jagiellońskiej, konającej teraz w objęciu reformatorów. Starzy konfederaci Barscy, z kresami chlubnymi na głowie, gotowi jeszcze byli pod starość sięść na koń i co dzień chodzili siodła swe i moderunki oglądać; zakonnicy wreszcie, których stan chronił od zepsucia. Maluczki ten świat, który wzdychał, modlił się, płakał i czekał, który miał serce i wiarę, patrzył już tylko na czynnych, ale sam nie był w czynie — miejsce jego zajmowało pokolenie, którego chęci walczyły z fałszywym pojęciem środków. Tu się przysłuchiwał młody człowiek podaniom mało znanej przeszłości, z której wprzód uczono go się naśmiewać, i poznał że szacunku była

godną; tu ujrzał, że barbarzyństwo, którym rzucali w oczy zepsuci by się sami od zarzutu wynarodowienia obronić — całe było w fałszywym pojęciu form, których znaczenie zgasło.

W poważnem tem kole sędziwych, pobożnych, zapłakanych starców i myśl jego spoważniała trochę, choć z zatwardziałością upartą wpływowi ich się bronił. Nie raz już O. Spirydjon miał na ustach słowo z którym wyczekiwał dogodniejszej pory, by nie zrazić niewczesną gorliwością, — a w tem wszystkie nadzieje starca rozsypały się w proch w jednej chwili.

Tegoż dnia, a było to w sobotę, gdy staraniem Fotofero i de Cerullego zgoda z Rybińskim zawartą została, gdy i ksiądz biskup kujawski przez króla ukołysany, zezwolił na nieposzukiwanie napastnika synowca swego, — podczaszyca wezwano wieczorem do fórtu. O. Spirydjon, który wypadkiem chodził, usłyszawszy że go wołano, a myśląc że to może sztuka nieprzyjaciół, co dowiedziawszy się o miejscu, chcą go tylko wywabić, zwrócił się do przybyłego i spytał:

— A kogo to żądacie moje dziecko?

Tem dzieckiem był niegdyś marszałek dworu i totumfacki podczaszyca, imci pan Frejer, do którego z rana zabiegł cavaliere, dając polecenie, żeby się do swego pana dostał.

Frejer z początku niechętnie się brał do tego, bo usunąwszy się przy rozbiciu z rachunkami, bardzo ślicznie spisanemi, nie miał potrzeby ratować Ordyńskiego, nie posądzając żeby jeszcze co w kieszeni jego do wyłowienia i obrachunku znajdować się mogło. Słyszając o stanie interesów podczaszyca, będąc świadkiem jak dom i sprzęty zabierano, myślał, że podczaszycowi *caput* będzie, jak mówił; jako bardzo porządny człowiek nie chciał się do nieporządných chudopacholskich spraw mieszać. Cavaliere go dopiero przywiódł do pomiarkowania.

— Co ty sobie myślisz? — zawołał do niego po niemiecku — czy ty nie wiesz, że panowie są jak koty, które choćbyś zrzucił z największej wieży, zawsze padną na nogi i nic im się nie stanie? Pójdiesz do niego i oddasz mu kartkę moją, dodając ustnie, że sprawa z Rybińskim skończona, że nie ma się czego obawiać wyjść na świat; — powtóre, dasz mu list z Florencji donoszący o śmierci jego matki, a potrzecie dodasz, że jest pilniejszy nad wszystko interes... dla którego powinien spieszyć...

Frejer dobrze się namyśliwszy, wziął kartkę i list i wybrał się do kapucynów, a gdy O. Spirydjon zagadnął, chciał zaraz kartelusz podać, ale pismo z kieszeni znikło jak kamfora.

— Kogo to żądacie?

— Podczaszyca Ordyńskiego — rzekł Niemiec z poważnym jak suknia jego ukłonem.

— Ale — rzekł O. Spirydjon po łacinie, przypatrując się ciekawie Niemcowi — ja tu o żadnym w tej chwili nie wiem.

— Podczaszyc Ordyński Michał! — począł nalegać wciąż kłaniając się Frejer.

— Czego od niego chcesz?

— Mam poselstwo, ważne, wielkie, smutne! — łamanym językiem począł łatając się Frejer, któremu łaciny nie starczyło.

— Cóż takiego?

Niemiec potrząsał głową.

— Jakże się waćpan nazywasz — spytał ojciec — to się pójdę dowiem.

Niemiec po raz trzeci się uklonił, a że Polska szlachecka, uczyła szlachectwa wszystkim, a kto w niej parę lat pobyl, już herbownych nabierał pretensji, Frejer, syn tkacza gdzieś w Saksonji, odparł:

— Nazywam się Justus Bartholomäus von Frejer!

Z tem poszedł zakonnik do celi i otworzywszy drzwi, zastał podczaszyca spartego na stole, a tak zadumanego że wnijscia jego nie słyszał.

— *Laudetur...*

— A! dobry wieczór jegomości!

— Powiedz mi kto to jest Justus Bartholomäus von Frejer?

Podczaszyc, który pod tem nazwaniem z trudnością poznał swego dawnego pomocnika, nie rychło wykrzyknął:

— A! Frejer! to mój niegdyś totumfacki! ale zkądże go znacie mój ojczec?

— Jak myślicie, czy to uczciwy człowiek? — spytał O. Spirydjon — nie zdradziłby was?

— Ale nie! to człek dobry, flegmatyk, Niemiec, i okrutnie regularny w registrach, o pieniądze trudno z nim było zawsze, ale co w rachunkach nikomu się nie da przepisać!

Rozśmiał się kapucyn.

— No, to może chcesz się z nim widzieć, czeka u fôrty!

Podczaszyc ruszył chcąc wybiedz, tak mu zapachniało stare życie, którego Frejer był przypomnieniem, ale go ksiądz powstrzymał.

— Czekaj, bezpieczniej ci go tu wprowadzić!

I rzuciwszy na podczaszycą pełnem litości wejrzeniem wyszedł, a po chwili wsunął się Frejer, kłaniając się bezustannie. Ordyński o mało go w pierwszym zajpale nie uściskał — tak był głodny wrażeń, plotek świata...

— Jakżeś mnie tu wyszukał?

— Posłał mnie cavaliere Fotofero — miałem nawet listek, — ale Niemiec zaczął szukać po kieszeniach. — Co to jest? Dziwna rzecz! ja nigdy nic nie gubię! Dziwna rzecz!

I brwi podnosił i ramionami ruszał i rewizją sukni rozpoczynał jak najsumienniejszą, ale listu znaleźć nie mógł.

— Nie pojmuję jakem potrafił zgubić.

— No ale wiesz przecie — znicierpliwiony tą zgubą i flegmą z jaką Niemiec ledwie skończywszy poszukiwanie, znów je na nowo przedsiębrał — ależ wiesz z czem cię posłano?

— Cavaliere Fotofero mówił mi... ale jakże ja mogłem zgubić kartkę! — powtarzał Frejer, który poczynał wywracać kieszenie aby je poznać że były rewidowane.

— Zgubiłeś, toś zgubił, mniejsza — tupnął nogą Michał — ale mi mów z czem cię posłano.

— To nic, ale jak mogłem zgubić list! — zawołał niepokonany Niemiec — to niepojęta.

Nareszcie gdy wszystkie kieszenie, kieszonki, chustki, kapelusz, najsumienniej przejrane zostały, Niemiec westchnął.

— To niepojęta! rzekł.

— To niepojęta jak ty jesteś nudny — zawołał podczaszyc przeskakując z nogi na nogę — mów naprzód z czem cię posłano?

— Kazano mi powiedzieć, *primo* — tu Frejer zobaczywszy kieszenie powywracane i suknie rozpięte, znów je do porządku zaprowadzać się zabierał — *mo* że JW. pan śmiało i bezpiecznie wyjść już możesz, gdy sprawa z panem Rybińskim skończona, a król Jego-mość księdza biskupa wziął na siebie; *zdo* że z Florencji przyszła smutna wiadomość pod datą...

— Co? od mojej matki?

— JW. podczaszycyna nie żyje! — flegmatycznie z ukłonem rzekł Frejer.

Ordyński rzucił się na krzesło łamiąc ręce.

Szczerze on przywiązany był do matki, choć między nim a nią nie widać było tej czułości, która rodziców z dziećmi wiązać powinna, ale u obojga zatajone tłało uczucie, któremu tylko zimny wiek obyczaj na wierzch wyjść nie dozwalał.

Chwilę podczaszyc pozostał tak w smutnem zadumaniu, które Niemiec tem łatwiej poszanował, że użył tej chwili spoczynku na nowe poszukiwanie w kamizelce i pludrach, równie bezskuteczne jak pierwsze.

Michał zapłakał nad sobą i nad nią... na obcej ziemi w sieroctwie zmarłej. On także uczuł się sierotą i zadrżał, myśląc, że na jednego Boga tylko śmiało rachować może.

O. Spirydjon, który się ukazał w tej chwili, zastał Niemca jeszcze się systematycznie przetrząsającego, a podczaszycą we łzach. Łzy te niemal go uradowały, bo płacz, to owoc serca, a nie każdy zapłakać może!

— A! co ci to dziecko moje! — zawołał z uczuciem — co ci to jest?

— Odebrałem wiadomość o śmierci mojej matki.

— Módlmyż się za jej duszę — rzekł po cichu kapucyn kłękając... i począł głośno — Anioł Pański.

Niemiec stał i patrzył, podczaszyc zawahał się by za starym modlitwę powtórzyć — choć myśl już była gdzieindziej.

— Cóż teraz myślisz z sobą — spytał powstając O. Spirydjon.

— Właśnie mi przyniesiono wiadomość — odpowiedział podczaszyc — że sprawa moja o zadanie rany Rybińskiemu skończona, dzięki przyjaciółom. Śmierć matki wkłada na mnie nowe obowiązki i zajęcia — muszę wyjść natychmiast, ojciec pozwól bym ci złożył serdeczne dzięki za gościnność!

Starzec patrzył na niego prawie rozczulony.

— Ha — wyjąkał powoli — idź w imię Boże — ale wołałbym był żebyś tu jeszcze pozostał. Świat, stary bałamut, znów ci obejmie i omami, i to coś w siebie wzięł ze spokojniej, świętej tych murów ciszy, zwietrzeje rychło! Bogdaj byś kiedy przypomniał sobie te dni rozmyślania i pokoju, jakieś tu spędził!

A jeśli cię serce zaboli, powróć tu do nas, panie Michale — powróć do nas, do Boga... tam... może ci na chwilę weselej się zda, ale przeszumiawszy godziny policzone... żal ci ich będzie, bo każda owoc dać powinna, a te ci i kwiatu nawet nie zostawią po sobie!

— Dziękuję ci, dziękuję ojciec — powtarzał podczaszyc.

— Dziękujesz, płaczesz, ale dla czegoż tak ci się wyrzywać pilno? Idź więc... idź! i niech cię Bóg ręką starca błogosławi!

Frejer jeszcze szukał nic nie znajdując dotąd, podczaszyc trochę rozczulony, ale odzyskaną swobodą rozgrzany, pochwycił za płaszcz i kapelusz — wyszli. — O. Spirydjon milcząco przeprowadził ich do ferty, otworzył drzwi i krzyżem za podczaszycem ściskającym dłoń jego, drogę przeżegnał.

Wieczór już był dość późny — Ordyński spojrzawszy w gwarną ulicę, na ruch i zgiełk miejski — zastanowił się odurzony, serce mu bić zaczęło.

— Frejer — rzekł — przyprowadź mi fiakra, iść nie mogę.

Powolnie rozmyślając Niemiec, odstąpił kilka kroków zbierając się iść i obrachowując gdzie mu najbliższej będzie wynaleźć żądany powóz, gdy zdyszany, przerażony, z wyrazem bólesci i rozpacz na twarzy, stary Sieniński wpadł na wschodki wiodące do ferty i nie postrzegłszy potracił podczaszyc.

— A to ty stary!

— A to pan!

— Co ci jest Sieniński?

— A nieszczęście! okropne nieszczęście! wykradziono, porwano gwałtem, zdradą, podejściem moją Anusię, moje dziecko... nie ma jej! panie ratuj!

To mówiąc starzec ów tak zwykle powolny, co od pół życia drzemał więcej niż żył, tknięty w serce, powalił się u nóg podczaszyc i zaszedł z gorzkiego płaczu.

— Co? gdzie? jak? co się z nią stało? mów! mów!

Chwycił się Ordyński zapłoniony, bo wspomnienie Anusi wzruszyło go do szaleństwa.

Ale stary Sieniński prawie bezprzytomny ciągnął go, chwycił za nogi, nic prawie mówić nie mogąc, i przerywanym tylko powtarzając głosem:

— Córka moja! moja córka — mój skarb! Anusia moja!

W tejże chwili jak na zawołanie, z głębi ciemności nocnych zjawił się o parę kroków od nich płaszczem obwinięty Fotofero. Stał on patrząc na obu i uśmiechał się złośliwie. Podczaszyc pierwszy go postrzegł.

— Cavaliere ty tu...

— Na usługi wasze jak widzicie... już pan wiesz o porwaniu Anusi?

— A ty?

— A ja od dawna.

— Kiedyż to się stało! kiedy! kto? jak?

— Dziś dopiero! przed chwilą ledwie!

— Wiesz gdzie jest?

— I kto ją uwiózł, i jak i dokąd i dlaczego, wszystko wiem — rzekł zimno cavaliere.

— Może to się połąta — uśmiechnął się — ty stary powracaj do domu, a my ci trochę poczekawszy przywieziemy córkę. — To mówiąc klasnął w ręce, i fiakr z ciemności się wynurzył, a podczaszyc cały zburzony, nie oglądając się już na płaczącego starca, skoczył z Fotoferem do powozu. Na dany znak, skry posypały się z pod kopyt koni, polecieci...

IV

— Dokąd mnie wieszysz? — spytał oprzytomniając się Ordyński — gdzie ona? co to za porwanie? mów, proszę cię... zaklinam.

— Cała ta historia funta klaków nie warta — rzekł poważnie Włoch — źleś waćpan zrobił, żeś się w tym klasztorze zamknął, gdzieś z nudy mógł suchot dostać, a świat cały zgubiłeś z oczu. Mówiono wiele o Anusi tymczasem, bo mówiono o tobie, podkomorzemu brańskiemu głowa się zapaliła, zaklął się i założył że Anusie mieć będzie — i...

— Co, ten łysy rozpustnik! ten karciarz przebrzydły, śmiałyby dotknąć Anusi?

— A! a! — rzekł cavaliere — a cóż to znowu za drogocenna perła — dziewczyna jak inne, tylko podkomorzy zrobił po swojemu, nie chciało mu się popracować samemu, zapłacił Szwędzkiej, Szwędzka ją wykradła i zawiozła mu do jego domku na Nalewki!

— Prędzaj! prędzaj! — zakrzyczał podczaszyc. — Na Nalewki — na Nalewki, nie mogę zrozumieć dokąd się fiakr kieruje.

— O! jakże ci pilno! — szydersko rzekł cavaliere. — Kochasz ją! przyznaj się?

— Nie czas mówić o tem, podkomorzemu łeb roztrzaskam, serce wydrę — to zwierz nie człowiek! dla dogodzenia fantazji gotów by krzyż zdjąć z kościoła! prędzaj na Nalewki.

Cavaliere patrzył mu pilno w twarz.

— Nic nie mam — rzekł — przeciw zabiciu podkomorzego i kogo ci się podoba, ale pamiętaj kochany podczaszycu, żeby to nie był drugi tom sprawy z Rybińskim.

Podczaszyc nie słuchał powtarzając swoje:

— Na Nalewki, żywiej! zapłacę konie! niech popadają!

Konie też leciały jak ptaki, a jemu krew kipiała, twarz płonęła, dłoń drżała, bo poczuł że kocha Anusie i byłby się rzucił za nią na całe piekło.

Cavaliere śmiał się tylko z pod zakrzywionego nosa. Stanęli nareszcie u bramy zamkniętej.

— Tylko nie krzycz — rzekł do niego towarzysz — cierpliwości! wpuszczają tylko proszonych, ja znak wiem, otworzą nam.

To mówiąc, wysiedli, Fotofero zapukał do wrót zamkniętych, trzy razy po trzy, fórtka otwarła się natychmiast, podczaszyc odepchnął Włocha, który znikł, stróża, co się go chciał spytać o hasło i wpadł na dziedziniec instynktem się kierując, na oświecone wschody, które po cztery na raz przeleciał! uderzył o drzwi oświeconej salki i cały jeszcze rozplomieniony, oszarpany, rozpięty, wskoczył w tłum mężczyzn, wśród których szukając oczyma nie znalazł kobiety.

Towarzystwo wesoło się zabawiało choć bez gospodarza, śmiano się, szeptano, rozmawiano w kupki pozbijawszy. Oczy wszystkich zwróciły się na podczaszyc, a że wcale był niespodziewany i gniewny, skupiono się do koła. Ordyński rozepchnął ich i popędził słowa nie mówiąc do drzwi wiodących w głąb domu. Trafił na salę jadalną i stół zastawiony wspaniale, przebiegł ją! oparł się o drzwi zamknięte które wyłamał i przez ciemny jakiś pokoik dostał się do sypialni podkomorzego, z której dochodzący go głos płaczący do reszty gniew jego rozniecił. Na środku pokoiku, sam na sam z podkomorzym, który stał jak do modlitwy ze złożonymi rękami w pokornej i błagającej postawie, Anna trzęsąca się z gniewu, we łzach, ale z oczyma ognistymi oburzeniem, sparta o stół, wołała.

— Proszę mnie ztąd wypuścić! Co to jest? kto pan jesteś! jak pan śmiesz.

— Jam twój wieczny sługa — mówił podkomorzy.

Na te słowa wpadł jak burza Ordyński z dobytą szpadą i równocześnie krzyknął:

— Kto on jest! nie godzien pocziwego imienia które nosi! szubienicznik i zbójca!

Podkomorzy porwał się na hałas jakby go kto ranił, cofnął, spojrzął, osłupiał z zadziwienia zobaczywszy podczaszyc. Anusia skoczyła ku niemu, rzuciła się i wykrzyknęła:

— A pan Michał, mój zbawca!

I w tej chwili u nóg się jego osunęła zemdlona.

Podkomorzy nie zebrał się jeszcze na żadną odpowiedź, tak go napaść ta zmieszła, gdy Ordyński rzuciwszy nań wzrokiem wściekłym, na ręce chwycił zemdloną i szpadę wzięwszy w zęby, wyszedł na przód przez jadalną do sali. Tu gwar i zamieszanie znalazł wielkie — wszyscy znając już gwałtowność Ordyńskiego, obawiając się krwi przelewu, lecieli

rozbrajać. Ordyński na chwilę złożył ciężar swój na kanapie, szpadę wsunął do pochwy, stanął i drżący przerywanym zawołał głosem:

— Mielicie panowie być świadkami jak sobie ten lotr igraszkę chciał zrobić z niewinnej i poczciwej kobiety — zaprawdę piękna zabawka! Biorę was za świadków, że go lżę i zbezciescam do ostatniego, że go mam za najpodlejszego z ludzi, i że tę rękawiczkę rzucam jakbym mu rzucił policzek w twarz, gdyby wart był żeby go się poczciwa ręka dotknęła.

— Podczaszycu oszalałeś! — szepnęło kilku. Ale on nie słuchając, wziął znowu na ręce omdlałą i z pośrodku rozstępujących mu się wyszedł niosąc ją na wschody. Dwie lży wrzące lały mu się po twarzy, to bladej jak mur, to czerwonej jak ogień.

Po za nim szmer, gwar i hałasy powstały. Podkomorzy niewidzialny stał na progu sali, gdy go lżył podczaszyc, ale się nie ukazał, wszedł po zniknięciu jego, cały pomieszany i wylękły. Goście milczeli spoglądając po sobie, nie wiedząc jaką tu robić minę, najprzezorniejsi wynosili się po cichu, nie mając już na widoku wesołej wieczerzy i hulanki.

— Słyszeliście! — poprawując stroju i fryzury, rzekł podkomorzy, bladej jeszcze i niemogący przyjść do siebie. — Nikt nie odpowiedział.

— Ba! apelacja do Jeziornej! — brząknął ktoś poczekawszy.

— Jeszcze Panu Bogu podziękuj że cię jak Rybińskiego nie przekłuł, bo jak widać na żartach się nie zna.

Podkomorzy zaciął usta.

— Ha! — rzekł usiłując się nadstawić i minę nadržabiając — mniejsza o Jeziornę, na dwoje babka wróżyła, ale mi żal tego ślicznego dziewczęcia. Ledwie ją Szwęsia przywiozła, ledwie perswazjami pierwszy strach i płacz utulać począł, spodziewając że to się skończy ślicznie, pięknie i spokojnie, a tu go lichy przyniosło! z kąd-że się wziął? wszakże był za granicą?

Gospodarz próżno się silił zatrzeć wrażenie tej sceny na gościach. Towarzystwo było zważone, najserdeczniejsi ledwie coś pod nosem pykali niezrozumiale, obojętniejsi milczeli przypatrując się zdaleka, a przyjaciele z pokoju pouciekali.

Nie brakło i tych co już szydzili po cichu — wesołości ani sposób wyprosić!! — wieczór zupełnie się nie udał!

Tymczasem podczaszyc niosąc na ręku Anusię omdlałą, a niekiedy konwulsyjnie go jakby przez sen odpychającą, zbiegł ze wschodów w dziedziniec, dopadł bramy, którą mu coś otworzyło i stanął w ulicy, rozglądając się na wszystkie strony.

O kilka kroków czekał nań cavaliere z powozem! Anusia jeszcze była całkiem nie odzyskała przytomności.

— A! — plaskając w dłonie, zawołał Fotofero żywo podbiegłszy — w poręśmy przybyli, siadaj i jedźmy!

— Trzeba ją wprzód ocucić z omdlenia.

— Powietrze świeże i ruch najlepszym będą lekarstwem — zacierając dłonie i śmiejąc się cicho odparł cavaliere, podsuwając fiakra.

Powoli, ostrożnie Ordyński złożył Anusię w powozie i usiadł przy niej by ją podtrzymać, Włoch usłużny stanął z tyłu na niewygodnej desce, ale tak, że wprost do ucha podczaszycy miał przystęp.

— Na Bednarską, do dworku Sienińskich! — zawołał Ordyński.

— Gdziem ci mówił! — zagłuszył prawie razem odzywając się towarzyszy.

— Do dworku!

— Jedź gdziem mówił! Słówek podczaszycu, zastanów no się... po co ty ją zaraz ojcu odwieziesz! wszak kochasz ją i masz w ręku, wież do siebie!

— Milcz! milcz! przebudza się!

— Nie usłyszysz! ojciec już ją oplakał! czemuż byś nie miał korzystać z okoliczności? masz najęte nowe mieszkanie, mogła by u ciebie odpocząć... Ona cię kocha, ona zostanie z tobą! Miałbym cię panie Ordyński za głupiego, za głupiuteńkiego, gdybyś inaczej postąpił. Korzystaj-że choć raz z okoliczności jedynej, z jej przywiązania i wdzięczności! wszak się z nią nie ożenisz, a kochasz ją! Czyż ci łopatą w głowę kłaść potrzeba?

Podczaszyc na którego piersi rozkołysanej tyłą uczuciami, różnemi spoczywała piękna główka Anny, zatykał uszy na te rady zdradzieckie, ale czuł jak weń płynęły, jak go rozmarzały. Cały raj cichego szczęścia otwierał się przed nim! pragnął, walczył, ostatek

pocziwości wiódł go na drogę lepszą, ale namiętność brała górę i już spostrzegłszy, że nie jadą do dworku, nic nie mówił, spuścił głowę... Anusia się ocknęła, westchnęła boleśnie, krzyknęła, otworzyła oczy, poznała przy blasku latarni Michała i płacząc pochwyciła go za szyję. Ten ruch namiętny, nierozumny zbliżył ich serca, Ordyński stracił głowę; cavaliere tymczasem schyliwszy się wpół przysiadł na desce za powozem, żeby nie przeszkadzać i ręce zacierał cicho się uśmiechając...

Powóz leciał ulicami jak zaczarowanym światem ciemności, wśród którego migaly to rzędy okien jasnych, to nawieszane gdzie niegdzie lampy, to rozsypane drobne światełka. Ordyński ani wiedział, ani pytał dokąd jadą, słodkimi słowy uspokajał Annę, której lzy czuł na swojej twarzy jeszcze, a dziewczę płakało z przypomnień strachu, wdzięczności, wzruszenia.

Nagle powóz się zastanowił w dziedzińcu jakiegoś domu.

— Gdzie jesteśmy? — spytał podczaszyc.

— Jesteś pan u siebie — odparł cavaliere — apartament na *szym* piętrze... *Buona sera!* I zniknął.

— Jutro odwiozę ją do ojca — rzekł w duchu podczaszyc, wysadzając powoli z powozu — teraz niech się uspokoi i spocznie. Anusia jeszcze nie wiedziała co się z nią dzieje, nie rozeznawała miejsca — na przeciw nich kilku sług i Frejer na czele, stali ze świecami.

— Co to jest, dokąd mnie pan prowadzisz — zapytała nagle się zastanawiając — wież mnie pan do ojca! gdzie jestem?

— Odpocznij u mnie chwilę Anusiu — rzekł podczaszyc — pojedziem zaraz do ojca!

— Pojedziem! odpoczywać! kiedy on tam siwy włos rwie sobie z głowy — zawołała dziewczyna — co ci się stało panie Michale? — cofnęła się — natychmiast! natychmiast!!

Podczaszyc umilkł zawstydzony, chciał konie zawrócić, ale ich już nie było, odjechał niemi Włoch.

— Poszlemy po inny powóz — rzekł smutnie — ten odszedł... tymczasem zajdź do mnie.

— Nigdzie! ani na chwilę, tylko do ojca — stanowczo odpowiedziała Anusia, której charakter powracał z przytomnością.

— Chodźmy pieszo!

Frejer i służba stali w milczeniu.

— Po powóz i konie! hej prędej! — rzekł dosyć niechętnie Ordyński.

Anusia sparła się o mur i milcząca pozostała z głową zwieszoną, załzawionemi oczyma... Stali tak długą chwilę słowa nie mówiąc do siebie, Anna tylko niecierpliwila się coraz bardziej nieprzybywającymi końmi, nareszcie sługa powrócił oznajmując, że dla spóźnionej pory fiakra nigdzie znaleźć nie mógł.

— Więc idziemy piechoto! — powtórzyła żywo Anna, podnosząc głowę — idziemy!

Ordyński prosić już nie śmiał, bo nań spojrzała tym wzrokiem, który usta zamyka, musiał ją prowadzić.

Noc ciemniejszą się coraz stawiała — po domach i kościołach poznał podczaszyc że byli na drugim końcu miasta, ale wiedząc że Anusia co raz powie, to dotrzyma, nie sprzeciwiał się jej więcej. Szli więc z jednym tylko sługą, który niósł latarnię, mając nadzieję spotkać gdzie przypóźnionego fiakra, a Anna odzyskawszy siły śpieszyła tak że za nią zdążyć było trudno. Podczaszyc milczał chmurny, jakby na przekór jeszcze nadeszła burza, puścił się deszcz ulewny, a dziewczę nic nie czując prócz powinności wrócenia do ojca, pędziła po ślizkim bruku.

Ta podróż w milczeniu, ciemności, wśród burzy odbyta, trwała niezmiernie długo — błądzili po uliczkach nieznamomych, szli, wracali i na większe wydobyć się nie mogli. — Po mozolnej włóczędze znaleźli się jakoś na Krakowskim przedmieściu i choć już nie bardzo było daleko, podczaszyc dostawszy przecie fiakra, namówił Annę by siadła; zajechali przed dworek, w którego oknie paliła się jeszcze świeczka, ale bramę znaleźli już zatarasowaną, dowód że Kasper nie zapomniał bać się o swe pieniądze. — Uderzono do wrót gwałtownie, Hołodryga śpiący nie rychło się zbudził i odryglował. Wchodząc do izby zastali braci w żywej z sobą kłótni, której tylko słów kilka do ich uszu doleciały.

— Waszmościne głupstwo i chciwość wszystkiego tego nieszczęścia przyczyną — wołał Jan — myślałeś o pieniądzach, a zgubiłeś mi córkę? kto cię wie czyś mego dziecka sam nie sprzedał!

Wyrazy te straszne podyktowała rozpacz.

— Panie Janie, opamiętaj-że się — odpowiedział Kasper żegnając — co ci jest? Wszakżem cię tu do siebie nie zapraszał, a com ja winien, żeś ty sam tej awanturnicy dziecko swoje polecił?

— Albożeś mnie na to nie namawiał?

Na te słowa weszła Anusia rzucając się w objęcia ojca. Stary pochwycił ją nie wierząc oczom swoim, padł na kolana, i zobaczywszy dopiero podczaszyca, ku niemu podbiegł objął za nogi, zabelkotał niezrozumiale, mowę z radości tracąc.

Kasper stał także jak wryty kiwając głową, ale nie wiele okazywał uczucia; po chwili radość powróciła im przytomność. Ojciec jednak wymawiał ciężko, zająkiwał się i z wielką trudnością zdobywał na słowa. Chwycił rękę Anny, patrzył na nią i na chwilę od siebie puścić nie chciał.

— Jakżeż to było? — odezwał się wreszcie gospodarz zbliżając ku Anusi — powiedz bo nam aspanna.

— A pozwólcie mi wprzód myśli zebrać — odpowiedziała Anusia — drzę jeszcze cała, w głowie mi się przewraca... Wicie jak mnie ta jejmość namówiła na dzisiejszą przejażdżkę i zabawę wieczorną i jakem się ja jej dziecinnie pociągnąć dała.

— A jam głupi pozwolił — przerwał ojciec zachodząc się z płaczu.

— Dalibóg jam nie namawiał wcale — po cichu dodał pan Kasper.

— Jakto nie? a któż?

— Ty prędzej! A co mnie do Anusi! chcieliście toście i zrobili co chcieli! nie moja to wina!

— Dosyć żem się dała namówić i pojechała z nią — przerwała spór Anna — naprzód zawiozła mnie do swojego domu, tu, żem była jak zazwyczaj bardzo skromnie ubrana, naprzód mnie wymuskała pomimo mojego oporu, i dopierośmy siadły z nią do powozu. Pojechaliśmy naprzód do jakiegoś ogrodu, gdzie prawie do zmierzchu przechadzałam się z nią po bocznych uliczkach. Szła ze mną zakwefiona, mało mówiąca, czegoś niespokojna.

Jakiś jegomość który tu raz był we dworku, przyplątał się potem do nas, zaczepiał mnie, a choć odpowiadać nie chciałam, sam mówił długo, śmiał się, żartował; zbywałam go jak tylko mogłam, nareszcie pożegnał nas i odszedł, a my chwilę jeszcze zabawiwszy, siadłyśmy do powozu.

W drodze jejmość ta powiedziała mi że musi odwiedzić jakąś tam przyjaciółkę, do której na chwilę wstąpimy — nie bardzo mi się to podobało, ale z nią jadąc sprzeciwić się nie mogłam. Zajechaliśmy w ustronną ulicę, a już się i zciemniać zaczynało, następnie do dworku jakiegoś, którego bramę zaraz za nami zamknięto, a ja z nią weszłam po wschodach na górę. Minawszy parę pokoiów, które mnie zdziwiły żem nic kobiecego nie widziała, w jednym w którym się tylko paliła lampa od sufitu wisząca, kazała mi pozostać, mówiąc — posiedź tu chwilę, ja zaraz powrócę!

Chciałam się wymawiać i do powozu zejść, ale ledwie tych słów domówiwszy, znikła drugimi drzwiami, a mnie zaraz dziwny jakiś strach ogarnął, obejrzałam się i zdziwiona poznałam, że to być musi mieszkanie mężczyzny.

Cicho było do koła, poskoczyłam do drzwi, jedne były zamknięte na klucz, próbuję drugich, także! przerażona chciałam krzyknąć, gdy drzwi których próbowałam otworzyć, wszedł ten pan co z nami mówił w ogrodzie i ukląkł przedemną.

Nie pojmowałam co to wszystko znaczyć mogło, i słów którymi się odzywał nie rozumiałam nawet, wiem tylko, że przysięgał, obiecywał, zaklinał i porwał mnie za rękę, którą gwałtownie mu wyszarpnąwszy, oparłam się o stół właśnie gdy podczaszyca drzwi wyłamawszy pierwszy wpadł do nas... Więcej nic nie wiem, bom zaraz zemdląca.

Anna rozplakała się.

— Dzięki Bogu co cię ratował i tobie panie żeś nad nami miał litość — odezwał się Sieniński. — O! ja bym był nie przeżył tego! truchleję jeszcze wspominając!

W pierwszej chwili, gdy zmierzchno, a nie powracała Anusia, zaraz mnie tknęło, pobiegłem do mieszkania tej gałgany... Już tam nie było jej ani śladu — mieszkanie stało pustką, powiedzieli stróże, że na wieś się gdzieś wyniosła.

— To była namówiona zdrada! — krzyknął Kasper — ale któż by się jej mógł spodziewać, tak to stworzenie udawało układną i pobożną kobiecinę!

— Waćpan pierwszy nas pociągnął swoją łatwowiernością!

— A nie byłeś ze mną u niej na kawie? a nie mówiłeś sam, że bardzo przyjemna kobiecina?

— Któż pociągnął i znajomość zrobił! — począł znów Jan.

I bracia kłótnię na nowo mieli zagaić, gdy Anna całując ojca w rękę, usta mu zamknęła; postrzegli oba podczaszycy i zamilkli.

Ordyński w którego duszy nie wiem co się działo, chmurny, złamany, gniewny, wstał z krzesła po chwili, spojrzął na Annę z wymówką gorzką i pożegnał kłaniającego się starca, rzucając mu smutek na pożegnanie.

— Módl się za duszę mojej matki!

— Podczaszyna nie żyje! — zawołali ojciec i córka z wyrazem serdecznego bólu! — nieszczęście! nieszczęście!!

Podczaszyc odwrócił się i uszedł.

V

Z wielkiem podziwieniem swoim, podczaszyc w bramie zaraz spotkał się z cavaliere Fotofero, który w płaszczu obwinięty, zdawał się nań oczekiwać; w milczeniu ujął pod rękę Ordyńskiego, wsadził do powozu i dał znak woźnicy, by jechał do nowego mieszkania.

— Zkądżeś tu znowu? — spytał zdumiony podczaszyc.

— O to mniejsza — odparł Fotofero — ale cóżeś to najlepszego zrobił pan, dając tak z rąk sobie ujęć ulubionej dziewczynie; na to potrzeba być...

— Cóż chciałeś, żebym ją gwałtem zatrzymał! Ty jej nie znasz!

— Nie znam jej, ale znam kobiety — odrzekł machając ręką Fotofero — czasami czekają trochę gwałtu by się poddać. Ale mniejsza o to, kto wie? lepiej się tak może stało, choć myślałem że będzie inaczej. Cóż ci mówiła o podkomorzym brańskim, jak ją porwano? kto? wszak pewnie rozpowiadać musiała?

Podczaszyc niechętnie i krótko powtórzył powieść Anny, a cavaliere śmiał się wciąż oczy mając węń wlepione.

— I pan temu wszystkiemu wierzysz? — rzekł po cichu gdy podczaszyc dokończył! — cha! cha! miałaby podkomorzy być takim jak pan ceremoniantem?

Ordyński zerwał się z siedzenia, wielkim głosem zawołałszy:

— Milcz! milcz! — Oczy mu się zaiskrzyły, pierś wzdęła, oburzył się, ale podejrzenie było wrzucone w duszę, i rosnąc w niej już mogło. Cavaliere nie żądał widać więcej, gdyż zaraz zręcznie bardzo zwrócił rozmowę, a podczaszyc przypomniawszy śmierć matki, zwróciwszy myśli w inną stronę, smutny, do domu słowa nie rzekłszy przyjechał.

Na progu chciał go Fotofero pożegnać, ale Ordyński poczuwszy się do wdzięczności dla niego, pociągnął go za sobą.

— Na ten raz służyć nie mogę — rzekł cavaliere wyrывая się — pilna sprawa woła mnie gdzieindziej, alem rad że się pozbywasz dawnego ku mnie wstępu i przekonywasz że ci sprzyjam szczerze. Ja to sprowadziłem de Cerullego dla oczyszczenia ciebie, ja jeden pamiętałem o tobie gdyś się skrywał, ja natchnąłem twoich dawnych przyjaciół, ja postarałem się o zgodę z Rybińskimi — ja wreszcie wcześniej zawiadomiłem o tobie jenerała, który już czeka na górze.

To mówiąc potoczył się po schodach i znikł w ciemnościach.

Podczaszyc wszedł wolnym krokiem do swego mieszkania, ociągając się, bo mu teraz oznajmione odwiedziny Bauchera wcale nie były na rękę, potrzebował sam na sam smutek swój i znużenie wydychać.

— Ha! — rzekł w duchu — jenerała się pozbędę łatwo; gdy zobaczy że go czem przyjąć nie mam, prędko się wyniesie.

Ale się bardzo mylił w rachubie podczaszyc, bo zastał starego zjadacza nad wielkim półmiskiem ulubionych raków i kilką butelkami wina, z serwetą szczelnie pod brodę zatknętą, siedzącego wygodnie i zajadającego bardzo smaczno.

— Podczaszyc! kochany mój podczaszyc! a witajże! odezwał się Baucher rozstawując ręce do uścisku — przecież nam cię fata szczęśliwie wracają! Czekam cię od godziny i dziękuję ci żeś nie zapomniał o mnie, a kazał mi wygotować przekąskę. Raki dobre, tłuste, duże, wino wcale niczego, ser szczypiący... No, teraz opowiadaj mi swoją Odyseję i radźmy co począć.

To mówiąc Baucher już znów zajadał, popijał, *haec faciendo et haec non omittendo*, rozpoczął razem butelkę i rozmowę; podczaszyc upadł przy nim na kanapę.

— A fe! — odezwał się generał spojrzawszy mu w oczy, czy to się już godzi tak tracić ducha dla mizerji! Umarła matka, wszyscyśmy śmiertelni! zdradziła cię kochanka, któraż z nich nie zdradza? Nadszastałeś majątku, to rzecz do zreperowania; znudziłeś się klauzurą, tem ci lepiej światek będzie smakować. Jutro będziemy z tobą u króla.

— Po co?

— Takeśmy ułożyli, król cię z Rybińskimi *semotis arbitris* pojedna, a potem pokażesz się na dworze, publicznie, i rzecz skończona. Sam słyszałem jak N. Pan dowiedziawszy się o śmierci pani podczaszycy, powiedział: Jam teraz jego opiekunem.

— Ale ja mam gotowe drugie zajście z podkomorzym, które mnie znów N. Pana narazi.

— Co? on cię wyzwał?

— Nie, alem ja go publicznie złał!

— A ba! nikt tego nie słyszał prócz przyjaciół zapewne, byłeś w pasji, chodziło o kochankę, to już ja wiem wszystko, rzecz do załatwienia, obejdzcie się bez kawalkaty do Jeziornej. Myśl lepiej jak czas stracony nagrodzić, a nie o tem! Młodość krótka! przejdzie jak z bicza trzaś, a! a! — westchnął — siły codzien opuszczają, żołądek się psuje, trzeba kochać i jeść nie spuszczać się na jutro.

Widząc że te perswazje mało robią skutku, otarł Baucher usta po rakach, nalał szklanicę, rozsiadł się wygodnie na kanapie, i podśpiewując z cicha, poglądał na podczaszycą, który jak mruk milczał posepnie.

Złamany wypadkami Ordyński, ust jakoś otworzyć nie mógł, bo i myśli skupić nie umiał. Odrętwiały spoczywał w tem osłupieniu którego doznajemy, gdy wielki cios niespodziewanie w nas uderzy. Noc już była uszła do połowy, gdy widząc się zawadnym, a rozrachowawszy że ruch powozu dalszemu ciągowi strawności szkodzić już nie może, Baucher ścisnął za rękę Ordyńskiego i kazał sobie podać karetę.

Dopiero po jego odjeździe zwłókł się podczaszyc obejrzeć swoje mieszkanie, i znalazł je urządzone na bardzo pańską stopę, obszerne, a co dziwniejsza, połowę w nim swoich dawnych sprzętów, jakimś cudem ocalonych. Na miejscu które zawsze zajmował Archaniół-Michał, pozostały u kapucynów, wisiał teźże wielkości prześliczny obrazek, wystawujący scenę wszeteczną, starego i mistrzowskiego pędzla.

Podczaszyc rzuciwszy okiem po pokojach, uczuwszy się niesłychanie zmęczonym, padł prawie na łóżko i zasnął.

Gdy się przebudził, już nad nim stał generał ubrany paradnie, i rozkazawszy podać czekoladę, nalegał na podczaszycą, aby się co prędzej ubierał.

— Musimy spieszyc do zamku! rzekł — bo król wyjechać może — a zatem duchem mi się ubieraj.

Przetarłszy ledwie oczy, posłuszny rozkazowi podczaszyc chwycił się z łóżka, przeszedł do garderoby, a generał pozostał przy czekoladzie, której wyziew polykał studząc powoli. Tak się też dobrze obrachował z nią, że gdy ostatniego biskokta dojadał i wodą go popijał, wyszedł Ordyński gotów, i zaraz ruszyli do zamku.

Była to godzina, w której król przyjmował tylko poufale *á son petit lever*, w czasie gdy Brunet i Russo pracowali z fryzjerem około stroju i głowy Jego królewskiej mości. Sekretarz zwykle czytywał wówczas, jeśli nie było nikogo, listy prywatne, lub *Reverdil* przychodził z jakąś świeżą broszurą, najczęściej zasępiającą czoło królewskie. Czasem gdy listów nie było, a król słuchać czytania nie miał ochoty, wpuszczano Byszewskiego, Komarzewskiego, Kickiego, Garczyńskiego, Bacciarelliego i innych, a ci przynosili z sobą nie zawsze wesołe nowiny miejskie i zakulisowe, wiadomości sejmowe. Niekiedy król tę godzinę wyznaczał tym, których chciał przyjąć sekretniej, rozmówić się w cztery oczy. Pomimo jednak że generał z podczaszycem byli na liście zajęć tego poranku, nie zaraz ich przypuszczono; musieli czekać w gabinecie przyległym, bo król zajęty był właśnie rozmową o sprawach publicznych, nużącą go, niepokojącą, drażliwą, z ks. Łuskiną, biskupem kujawskim i kilką najpoufalszymi już u niego się znajdującymi.

Ta urywkami dochodząca oczekujących rozmowa, malowała dobrze charakter króla, i stosunek jego do stronnictw, które ważniejszą na sejmie grały rolę. Partja własna królewska i prymasowska nie liczyła ani wielu, ani znakomitych ludzi, i sama przez się była

bezsilną; prymas jeszcze odepchnął od siebie jednym niezręcznie wyrzeczonym i wielki rozgłos mającym wyrazem, *zgraja* napiętnowawszy przeciwników wszelkiego rodzaju, czego mu darować nie chciano. Partja Potockich i Czartoryjskich trzęsła tymczasem sejmem, a hetmańska i sapieżyńska podkopywała go intrygami pokątnymi, niewidocznymi, dopiero dającymi się czuć w skutku. Król bez zasady własnej, zubożętniały, przechylał się to do jednego, to do drugiego stronnictwa. Stosunki dawne, poufale i pewne węzły, co się nigdy całkiem rozprządz nie dają, łączyły go z hetmanem, Sapiehami, ostatek serca i szlachetności pociągał ku reformatorom. Nie mógł obojętnie patrzeć na usiłowania, którym poklaskiwała opinia, które nosiły cechę bezinteresownej miłości kraju. Ale te popędy szlachetniejsze trwały chwilę, niewiara, zwątpienie, rozcinała nić ich pajęczą i król do hetmana powracał.

— Księżę biskupie, słychać było cicho mówiącego króla — szczerze powiadam, ja nic dobrego nie przewiduję. Ludzie niektórzy chcą dobrze, ale z nich nikt nie wie jak począć; inni sami nie wiedząc czego chcą krzyczą, ostatek daje się ciągnąć interesem, przyjaźnią, stosunkami. Ba, są i tacy co o niczem nie myśląc, byle mowę rozgłosną wydeklamowali, syci. Wszystko to daj Boże by z dymem a nie ze krwią poszło.

Nikt zdawało się nie odpowiedział na to królowi, lecz po chwili odezwał się ks. Łuski:

— N. Panie, ci co pragną reform dla kraju, nie darmo ich żądają, a wiedzą czego chcą i czemu; drudzy też co by się przy starem radzi osiedzieć, mają swoją racją — boją się z domu wyszedłszy, zabłądzić w lesie... Usiłowania wszystkich wydadzą wreszcie owoc wspólny, da Bóg piękny i smaczny. Powiększenie wojska, przyłączenie się wszystkich a z niemi i duchownych do ciężarów publicznych, skasowanie zgubnych, elekcyj, przypuszczenie nie-szlachty do praw wyjątkowych dotąd *nobilitati exclusive* służących, reformy te godne statystów co je przedsięwzięli.

— Ja też ich wcale nie ganię — rzekł król — ale mi nikt wlać nie potrafi przekonania, żeby się to na co zdać miało: kiedy człowiek umiera, próżno myśleć żeby mu bolący ząb wyrwać... A przytem, mój dobrodzieju, kraj nie przerabia się od fundamentów jednego dnia, na zawołanie — to darmo. Mnie nikt nie wszczepi nadziei, choćbym może za nią życie z ochotą sakryfikował.

— Byle król był z nami, dodał ks. Łuski, wszystko dobrze będzie...

Suchy śmiech był pierwszą odpowiedzią.

— *Utinam sis vates*, dodał Stanisław August, ale ten król nie wiele wam pomoże. W Pan mości księżę Łuski, lepiej wiesz jak na obrady patrzy opinia, co też tam słuchać o ostatnich ustawach? Co one wywołały!

— Co? *Rozmowy umarłych!* przerwał biskup kujawski szybko.

— Słyszałem o nich, odparł król — kto to pisał? nie wiecie?

— Ani się domyśleć — rzekł Łuski, ale chodzą dosyć po rękach i nie bez wrażenia.

— Trzeba żeby mi Reverdil kiedy drugą przeczytał, dodał król, do której słyszę wprowadzono Dekerta, znam ją tylko z treści. A w mieście co tam słychać? odwrócił rozmowę, jakby umyślnie unikając polityki.

— Nasz podkomorzy brański, przysunął się Byszewski który tylko co wszedł, znowu sztukę spletał, wykradł słyszę wczoraj owę Anusię podczaszycowi Ordyńskiemu.

— Owę to sławną Anusię, o której przed niejakim czasem tyle mówiono?

— Ale się nią długo nie cieszył, dokończył generał szybko, nie dając się z plotką uprzedzić — prawy jej właściciel wpał jak burza i zbezpieściwszy go, odebrał mu ją.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Niepoprawiony! kiedy się to ten fajerwerk wypali, przebąknął król nareszcie, zwracając zaraz rozmowę. — Kazałem — rzekł, żeby się tu dziś stawił podczaszycowi i natrę mu uszy za waszego synowca mości księżę biskupie. — Cóż ten biedny podskarbi? spytał po chwili Byszewskiego, — nie słychać o nim?

— Barabasz, dodał ks. Łuski po cichu.

— Alboż go to już tak nazywają? rzekł Stanisław August wzdychając.

— Zdaje się żem już o tem mówił W. K. Mości?

— Może, ale mi to z głowy wyszło. — Uciekł chwala Bogu, co wiele sejmowi trudności oszczędzi.

— Wątpię, przerwał biskup, bo gorąco go szukają. Pomimo wszystkiego co uczyniono, by nienawiść ku niemu ogólną osłabić, zawsze ona trwa, a nawet wzmacnia się zdaje. Na hetmana Ogińskiego wrzask okrutny, że go dał puścić, a tysiąc czerwonych złotych nagrody i ogólna niechęć, pewno go prędko pod kłódkę zapędzą.

— Niech sobie ucieka — rzekł król żywo — jak najdalej! Ciężki to dla mnie cios widzieć go przed sądem, a w nim zszczęscony urząd wysoki i dostojęństwo. Sąd ten wywołuje tyle już zapomnianego dzięki Bogu, i błotem rzuca na tyle ludzi blizkich mego serca.

— Już dziś odezwał się ks. Łuskiński powoli, rozchodzi się wieść, że go powtóre na łądzie schwytał oficer jakiś...

— Co? znowu! krzyknął król.

— Poznano go przypadkiem na poczcie.

— To może być jeszcze bajka, czekajmy — rzekł biskup.

— Daj Boże by to bajka była.

— Cała historia podskarbiego, dorzucił ks. Łuskiński — chodzi teraz po mieście i kraju, znają ją chłopcy uliczne, wiedzą na palcach wszyscy, a ktoś z przemyślniejszych nieprzyjaciół sprowadził tu nawet do Warszawy Kozłowski, który chodzi po ulicach, pytając kogo spotka o swoją żonę.

— Cóż to za historia znowu? spytał król — ja sobie jej nie przypominam... to już nie *ex publicis*, ale z życia prywatnego! Nabroił bo podskarbi, może nie więcej od drugich, ale mu nic się nie upiekło darmo!

— Na nieszczęście, ta historia z Kozłowskim dosyć brzydka, podchwycił Arnold Byszewski — ale nic by to nie było, żeby jej do drugich nie przyszywano! bo to chodzi po ludziach! Kozłowski szlachcic ubogi, służył podobno u księcia podskarbiego, a miał co się zowie piękną żonę; widywałem ją potem u księcia, piękność znakomita!

— No i porwał mu ją, okupił, zapłacił czy odmówił! rzekł król trochę niecierpliwie, cóż to osobliwego!

— Trochę to nie tak było N. Panie, dodał generał. Kozłowski na nieszczęście głupi, kochał się tak szalenie w swojej żonie jak się drobnej szlachcie trafia tylko; gdy mu ją podskarbi odmówił, z żalu oszalał.

— Oszalał! ale czyż to być może! spytał Stanisław August, może udaje chyba warjata!!

— Nie N. Panie, trudno to tak udawać! Samem go widział! Ktoby się to tak wygórowanych sentymentów spodziewał w prostym szlachciurze! Mojem zdaniem, nie winien książę podskarbi nic, bo mógł-że przewidzieć co wyniknie? Kozłowski przebywszy ciężką chorobę z której ołyśiał zupełnie, zwarjował całkowicie.

— Czemuż go już nie oddadzą do Bonifratrów? spytał chmurno biskup.

— Łagodny to warjat, a pewnie nieuleczony, chodzi sobie po mieście, i na tem jego mania że każdego zatrzymuje i pyta czy nie wie gdzie się Julka jego podziła. Ulicznicy drwią z niego, ale to widok przykry, jeszcze teraz rozżarza nienawiść ku podskarbiemu, i myślę że go tam nie darmo puścili na ulicę, czyjaś to sprawka.

— A z Kozłowską co się też stało?

— Historia to nie dawna jeszcze, kobieta młodziuteńka podobno w trzecich rękach, nie myślała mu wcale dotrzymać wiary przeciw fortunie. Teraz ją jakiś Włoch zagarnął.

Na tem stanęła rozmowa poczęta sejmem, skończona plotką pokątną, a generał posłyszawszy że się król o podczaszycu upominać zaczął, wprowadził go do gabinetu.

Na pierwszy rzut oka, król wydał się podczaszycowi jeszcze starszym, a choć wyraźnie były ślady piękności i chęć utrzymania się przy niej — czas, czy wypadki, głęboko się wryły na jego twarzy. Usłyszawszy wchodzących, Stanisław August już ubrany odwrócił się ku drzwiom i oblicze jego przybrało wyraz niezwyklej, udanej surowości. Podczaszyc skłonił się raz pierwszy z daleka.

— Mości Ordyński — odezwał się król wyciągając ku niemu rękę — byłbym go surowo przyjął, ale mi boleść jego usta zamyka i serce łagodzi. I ja też cierpię nad stratą tak pełnej wysokich przymiotów matki waćpana. Niech więc przebaczenie i zapomnienie pokryje co się stało z żywoci młodzieńczej i krwi zburzonej.

Oto Jegomość ksiądz biskup kujawski, uproszony przezemnie, przychyłając się do żądania mego, winę waszmości darowuje, a ja z nim; ale niech to będzie nauką dla przyszłości.

Podczaszyc zbliżył się do biskupa, który w milczeniu posępnem oddał mu ukłon, potem ucałował rękę królewską i natychmiast się wysunął; toż uczynili ks. Łuskina i generał Byszewski, pozostali tylko: król, generał Baucher i Ordyński.

Stanisław August powstał z krzesła i przybliżył się do podczaszyca marszcząc brwi nie bez wysiłku, gdyż surowym być nie umiał, gniewu nie znał, nie tak z dobroci (choć jej miał wiele) jak raczej z obojętności niedopuszczającej burzy do serca.

— Wymagam po waszmości — rzekł — byś mi sprawy nowej z podkomorzym nie rozmazywał, pogodzą was przyjaciele. Dość już tych pojedynków i krwi rozlanej za kobiety, szklanki wody nie warte! w takiej chwili wstyd się o to potykać.

Podczaszyc nie mógł nic odpowiedzieć, ale generał podchwycił.

— Stanie się wola W. kr. Mości, my to zaraz połatamy, nie pojedą do Jeziornej.

— Szczęściem i tak dla Waćpana — dodał król — że sprawa o ranę Rybińskiego w nic poszła, bo pachła nie lada czem pod sądem marszałkowskim.

— Jam był srodze obrażony — rzekł podczaszyc — a odmówiono mi zadość uczynienia.

— Nie mówmy o tem — przerwał Stanisław August. Czas już wielki dla Waćpana pójść śladem ojców, poprzestać życie tak trawić, potrzeba zacząć żyć dla kraju, pomysleć by go użyć.

Podczaszyc skłonił się całując rękę królewską, a w tem koniuszy Kicki wszedł dając znać że karety królewskie stały gotowe do naznaczonej przejażdżki; za nim Ryx wprowadził za sobą kamerdynerów niosących kapelusz, laskę, szpadę, płaszcz... Paziowie w paradnych strojach na koniach, pułkownik Königsfeld ich naczelnik... kilku ułanów, stali już w dziedzińcu oczekując by towarzyszyć królowi. Ordyński z generałem ustąpił, a orszak świetny posunął się zaraz ku Krakowskiej bramie i w niej znikł im z oczów.

VI

Dziękuję zabiegom przyjaciół, któremi zdawała się niewidzialna jakaś kierować ręka, Ordyński w chwili odzyskał straconą na świecie, co o nim był tak rychło zapomniał, wziętość i przychyłność. — Cały więc, zwrócił się znowu ku niemu, odganiając wspomnienie Anusi, do której czuł żal jakiś, usiłując sobie wmówić, że mu się okazała niewdzięczną.

Z pocziwych myśli zasianych ręką O. Spirydjona i wschodząc już poczynających, wkrótce nic nie pozostało, zagłuszyły je inne, stare chwasty dobywające się z pod nich, nie wytrzebione jeszcze, ścięte tylko. Otaczający też znowu podczaszyca, przyczynili się przykładem swoim do utrzymania go na tej drodze, a codziennie wszechwładniej kierujący umysłem jego cavaliere, rzucał nim jak piłką, pilnując by zawsze popychać w stronę własnych jego namiętności.

Kilka też ledwie wylawszy po matce, ale grubą po niej wdziawszy na początku żalobę, podczaszyc znowu się zdał w ręce Frejera, któremu dom swój i życie powierzył, a kierunek interesów ogólny przyjął plenipotent, jakich na ów czas nie brakło.

Za tego to panowania najwięcej podobno fortun szlacheckich, co zaraz w pańskie nawet się przeistaczały, urosło z tego łupieżstwa prawników i dziwnej nieopatrzności panów. Nigdy może dziecinniej, obojętniej nie dawali się drzeć magnaci, a bezwstydniej nie łupili ich pełnomocnicy. Zdawało się, że jakaś mściwa ręka ciężyla już nad plemieniem dawniej wybranem, zakrywając mu oczy, wiodąc do zguby za karę grzechów starych, zguby wszelkiego rodzaju, dusznej i cielesnej. Na ruinach pańskich majątności rozsypujących się w proch, wyrastali co chwila nowi pankowie, których już krzyczących widział w krzesłach sejm czteroletni i ubierających się w patryjotyzm, źle pokrywający bezwstyd jeszcze nie starty z ich czoła.

Przykład ruiny jednych, żywy, uderzający, jak gdyby drugich nic nie obchodził, nie sprawiał opamiętania, i po zrujnowanych na pół lub ze wszystkim, drudzy tak samo zupełnie niszczyć się i odzierać dawali, własnym grzechem i ludziom bez sumienia. Nie brakło też chciwych a przewrotnych, co korzystać umieli z tego jakiegoś rozstroju niepojętego i rozpaczliwego zapomnienia przyszłości. Dostarczały ich palestry popsute przepokupstwem i intrygami tych samych panów, których Bóg karał tem, czem zgrzeszyli. Narzędzie przestępstw, stawało się narzędziem kary. Nauczyci się prawnicy po trybuna-

lach od panów jak najgorszą sprawę wygrać, a swoją wymalować zawsze na dobrą; użyli teraz gdy chwila przyszła, nauki swej na dawnych pryncypałów.

Podczasyc zewezwał do porady tylko w początku, przedstawionego mu przez jenerała Bauchera niejakiego Liebiedzińskiego, dawniej podstarościę piotrkowskiego, a ten tak umiał nim ovladnąć i podobać mu się z układności swojej, że wkrótce wszystkie jego interesa powierzone mu zostały z najobszerniejszem do ułożenia ich pełnomocnictwem.

Pan ekspodstarości człkiem był nie lada i do wszystkiego, a losy jego przypominały cokolwiek historją samego jenerała, który go teraz protegował.

Był on w początku i w seminarjum, gdzie kazania nawet mawiał, i sukces ich podobno naprowadził go na myśl, że z głową i wymową inaczej szczęścia szukać może. Zawczasu się więc wywłókl, potem jakby na próbę zaciągnął się był do wojska, doszedłszy do tego że namiestnikowstwo sprawował w jakiejś chorągwi; tu gdy kłopotu napytał z rejestrami przy wypłacie lenungów, a skargi nań poszły aż do hetmana, musiał podać o abszyt i dopiero przy trybunale zostawszy palestrantem, trafiwszy nareszcie na właściwą sobie drogę, wykierował się szybko na mecenasa. Głowa była nie lada, układ wyborny, człowiek z wierzchu choć go do rany przyłożyć, coś z niego chciał, to miałeś. Otarli się po świecie, poznawszy ludzi, praktycznie jakoś nauczył się Liebiedziński życia, i wziął za prawidło sobie, naprzód chwytać za serca, by potem bezpieczniej dobrać się do kieszeni. Nie było nadeń łatwiejszego w towarzystwie, ani weselszego człowieka, ani co by się lepiej umiał zastosować do humoru otaczających. Toż w sprawie tak tok jej i powodzenie zastosowywał do humoru swego klienta, że choć ją i przegrał, estymy u niego nie tracił. Liebiedziński nie był to już starej szkoły trybunalskiej prawnik, wierzący w literę prawa, grzebiący się sejmowych ustawach, by mieć co postawić przeciw argumentom przeciwnika; wierzył w grosz, w zepsucie, w środku pokątne, a o prawo dbał mało, wywracając je jak mu się podobało.

U dawnych naczelników trybunalskiej palestry choć było złe, ubierało się w jakiś pozor legalny, tem przebraniem dowodząc poszanowania prawa; u niego bez subjeckji, co do głowy przyszło stawało bezwstydnie, nie zważając jak się komu wyda. Zręczny pisarz, wielki orator, erudyta, w słowa bogaty nadewszystko, obrachowujący żeby raczej obalamucić niż przekonać słuchaczy, Liebiedziński żartował z ludzi, któremi rzucał obojętnie. Znał on już ze słuchu stan interesów podczaszyca i postanowił korzystać z niewiadomości i obojętności młodego człowieka na jego zgubę, a wzniesienie się własne. Obiecał z razu złote góry, a że śmierć podczaszycej dawała całemu nowemu interesowi obrót, że spadek po niej we Florencji na chwilę kredyt podsyłał, że można było ściśle biorąc wybrnąć ze złej toni i okazać sposoby ku temu, sprawnik zawrócił łatwo głowę Ordyńskiemu, a całkowite zdanie się na niego, dogadzające próżniactwu, poszło jak po maśle.

Tak tedy usłużny i pokorny, wesoły i dobry kompanista Liebiedziński, w kilka dni po wprowadzeniu go przez jenerała, dostał najnieograniczeńszą plenipotencją i zakręciwszy się tylko, wyjechał zaraz do Głuszy dla zajęcia się uspokojeniem wierzycieli, układem z zastawnikami i t. p.

Podczasyc urządziwszy dom, pozostał w Warszawie, a że nowy lokal który mu cavaliere wyswatał bardzo zdawał się wygodny, tu się rozgościwszy, dawne poczał sobie życie. — Dom zajmowany przez niego, choć nieco od środka miasta oddalony, należał do piękniejszych budowli nowych; lecz pod bokiem mieszkał de Cerulli, który się był wyniósł z Senatorskiej ulicy, co także swoją miało cenę. W dodatku, w parę dni po zamieszkaniu, cavaliere poprowadził podczaszyca do okna, pokazał mu tuż na przeciw obok Cerullego, bardzo piękną twarzyczkę... Ordyński się zapalił, Fotofero śmiać poczał i nic nie chcąc powiedzieć kto by to był, uciekł zostawując go pod wrażeniem wywołanem umyślnie.

Wysłani na zwiady natychmiast, bo podczasyc gorąco brał rzeczy, donieśli mu że to była ulubienica de Cerullego, Warszawianka wszakże, znana pod imieniem pięknej Julji. Łatwo się w niej było po tem podczaszycowi domyśleć Kozłowskiej owej, kochanki ekspodskarbiego, a choć marzył o większej niż podobna zdobyć, nie mógł się pomimo wstrętu wywołanego historją awanturnicy, oprzeć uczuciu które go ku niej ciągnęło.

Przyszło to tak jakoś nagle, zaskoczyło go tak gwałtownie, że się nie opatrzył jak zabrął daleko, jeszcze do niej i słowa nie przemówiwszy.

Sprawa o porwanie Anusi i zajście z podkomorzym, zaraz nazajutrz staraniem wspólnych przyjaciół ułatwioną być miała; ale podkomorzy, który widać że za wolą królewską

musiał ukończyć spokojnie, drożył się przecie z początku i śmiało stawał. Pośrednicy więc latali, chodzili, szeptali, i robić się jeszcze zdawali co już było dokończzone, a jenerał jadł z obu stron i pił z obiema, co mu wybornie dogadzało.

Podczaszyc ruszył tymczasem w świat, głodny będąc wszystkiego: kart, kobiet, śmiechu i zabawy. Sama wdzięczność wymagała widzenia się z de Cerullim, który oswobodzonego otwartemi powitał rękami, ale tonem daleko więcej protekcyjnym niż dawniej. Zdziwił się podczaszyc widząc w nim taką zmianę, zdobyte nowe stanowisko na świecie, i wpływy jakie ten człowiek wywierał na wszystkich, ale mu je wytłumaczył charakter posłannika Wschodu. Pokoje się u niego nie wypróżniały nigdy, gra ciągle wrzała, lało wino, rzucano pieniądze garściami, rujnowali się gracze, a wśród tego szumu, dostrzedz było łatwo pilnemu oku jakichś zmów potajemnych, narad pokątnych, których gra i zabawa były pokrywką tylko. W salonach Włocha spotykały się osoby najwyżej stojące, których gospodarz jak równych traktował poufale, niekiedy dawał im rady i znajdował zawsze posłusznymi swemu sterowi. Widać było że Cerulli piastował jakąś tajemną władzę i miał znaczenie wielkie w gronie które go otaczało.

Tuż obok jego mieszkania, ale nigdy nie pokazując się na pokojach pełnych gości, zajmowała obszerny lokal piękna Julja. Okna jego na wprost były zwrócone ku oknom domu Ordyńskiego; przez nie to pierwsza zawiązała się znajomość, i z daleka ją widząc tak się był już podczaszyc zapalił, że przysięgł jenerałowi, jako nic w życiu nie spotkał nad nią cudowniej pięknego.

Jenerał, który w chwili wyznania spokojnie popijał, spojrział na podczaszycę z pod brwi, potracił głową i rzekł z flegmą:

— Zły masz gust.

— Jak to? dosyć mieć oczy jenerale, żeby mi się nie dziwić!

— Ale ba! przy oczach i uszy nie zawadzą.

— Cóż uszy w tej sprawie mają za udział?

— Bardzo wielki... Naprzód tego djabła Włocha, który w niej słyseż zakochany po uszy, a zelant szkaradny, nie dobrze zaczepiać; powtóre odgrzewana to potrawa, którą się nie jeden przejadł do syta.

— Ale ty jej nie znasz jenerale.

— Jakto nie? — obojętnie rzekł Baucher — kto z nas nie zna i nie widział Julji. Znałem ją u podskarbiego, u księcia Nestora, u podkomorzego, a teraz u Cerullego.

— Możeż to być? wygląda na lat nie spełna dwadzieścia!

— Młodemu wszystko młode — westchnął jenerał — ale posłuchaj mojej rady, porzuć to, Włoch niebezpieczny, a kobieta istny szatan.

— A! nacóż tak śliczne ma oczy! — zawołał podczaszyc z długim westchnieniem.

— Te śliczne oczy to waścine nie jej! — odparł stary. — Było to i zemną niegdyś — teraz mi się wszystkie jednakowo wydają, bo na mnie nie patrzą. Oj! młodość! młodość!

— Mówiliśmy o Cerullim — rzekł podczaszyc zwracając rozmowę — wytłómaczcie mi jeśli łaska, jak się teraz tego znaczenia które teraz ma, dochrapał?

Baucher ruszył ramionami.

— Dla mnie to człowiek niepojęty — rzekł — je mało, pije nie wiele, człowieka na wylot prześwidruje byle na niego spojrział, zimny jak lód, zazdrosny jak Turek, a w gruncie usłużne stworzenie.

— Ale to znaczenie? — spytał Ordyński.

— Ba! to rzecz najmniej zadziwiająca! trzęsie teraz całą massonerję naszą, bo ma tu posłannictwo i władzę wielką od mistrza...

— Nie ma się co dziwować, że z tym charakterem inaczej teraz został przyjęty i uważany. Musimy go słuchać radzi nie radzi!

Rozmowę przerwali nadchodzący goście, a podczaszyc głęboko rozmyślać począł, nie wiem nad znaczeniem Cerullego, czy nad czarnemi oczyma pięknej Julji...

VII

Biedna Anusia zdawała się skazana na ciężką walkę bezsilnego pragnienia z losem, z biegiem wypadków niepowstrzymanym, przeciw którym otwarcie nawet stanąć nie mogła.

Całym orężem jej była modlitwa. Ale czemże modlitwa co niebo porusza? kiedy do Boga dochodzi gorącymi oblana łzami, często dla nas samych Bóg jej wysłuchać nie może. Nasze łyż dziecinne i nierozumne pragnienia mogą tam być porachowane w dalekiej przyszłości, lecz w chwili gdy je posyłamy, rzadko sprowadzą czego pragniemy gorąco, bo pragnienia nasze dla nas lub drugich trucizną. Więc próżno szły w niebo modlitwy, a serce cierpiało.

Porwanie niespodziewane, przestrach, uratowanie, i ta chwila, którą przeżyła z głową spartą na ramieniu podczaszycy, wstrzęsły całą jej istotą; nieznanne światy marzeń otwały się przed nią, a z niemi powracała w ten kątek ciemny, smutny, odosobniony, w którym żyć musiała sama z myślami tylko swojemi. Owe sny dawne, posłannictwo które spełnić miała w Warszawie, ciągle snuły się przed tęsknemi oczyma, ale jak mogła je spełnić? Biedziła się nie pojmując, że może sama o tem nie wiedząc, będzie narzędziem ratunku. Wiedziała że podczaszyc brnął znowu z przyjaciółmi w życiu jakie był przed śmiercią matki rozpoczął, z większą jeszcze swobodą, z większym poniżeniem, bo pod pozorem, że między równymi sobie serca nie znalazł, zaprzeczał istnieniu serca i szukał tylko roztargnień, płacąc za zabawę. Jak go ztąd było wyrwać i ocalić, gdy zbliżyć się nawet wstyd było ku niemu, po za wał brudów który go otaczał.

Łzy jednak często płodniejsze są niż sądzimy: one jak rosa niebieska padają nieopatrzone, podziewają się gdzie nieobrachowane, a zwilżają i żywią przestrzenie dalekie.

W kilka dni po uwolnieniu podczaszycy, O. Spirydjon niespokojny także o Ordyńskiego, bo go jak duszę, dla której była nadzieja ratunku, polubił i przywiązał się do niego, przyszedł dowiadywać się u Sienińskich co się z nim działo. Zastał Anusię tak rozpaczającą prawie, że się aż zdumiał i zafrasował.

— Moje dziecię — rzekł — rozpacz do niczego nie doprowadza, i owszem spacza człowieka tylko, czyniąc go do wszelkiego czynu niezdolnym. Można co robić, róbmy, a nie, to się módlmy, by Bóg w łasce swej za nas czynił. Ufajmy mu jako Ojcu, drogi opatrności niezbadane! Miałem czas poznać Ordyńskiego lepiej; szlachetna to dusza, poczciwy chłopiec, ale zgangrenowało go lada jakie wychowanie. Któż to wie? czasem najnieporządniejsza młodość bywa przedsiönkiem poczciwego życia.

— Ale mój ojcz — odpowiedziała Anusia — kto go tam sprostować może, kto do niego dostąpi ze słowem prawdy? nie ma już księdza Beaudouin'a co się nie wahał wcisnąć w tłum graczów, choć z niego wyniósł policzek!

— Święty to był czyn — odpowiedział kapucyn — i każdy poczciwy kapłan naśladować by go potrafił, choć doprawdy szlachcicowi polskiemu najwięcej by ten akt pokory kosztował, bo za skórą księżą jest taki stara szerść szlachecka!... Ale z drugiej strony strach podawać na niepotrzebne pośmiewisko suknię kapłana, a ja mam taki nadzieję, mam przecucie, że go nam Bóg powróci...

— To chyba cudem i twoją modlitwą mój ojcz — odpowiedziała Anna całując jego rękę.

— Wszystko Bogu łatwe, choć nam to się wydaje cudem. Złe czasem, doszedłszy pewnej granicy ostatecznej, samo się zabija i niszczy... bądźmy cierpliwi.

Na te słowa wszedł pan Kasper od niejakiego czasu zmieniony wielce, z głową spuszczoną, twarzą zwiędłą, oczyma wpadłemi — kapucyn spojrzawszy nań, powtóre się zakłopotał.

— A co ci to panie Kasprze — spytał — wyglądasz mi jak z krzyża zdjęty?

— Nic, ot tak nie mam się dobrze, po kościach chodzi czy chorobsko czy starość.

— Trzeba by w złem zdrowiu lepiej o sobie pamiętać — rzekł kapucyn — waćpan nadto już skąpisz na wszystko.

Panu Kasprowi aż oczy błysły gdy tę wymówkę usłyszał.

— Skąpie! skąpie! — rzekł prawie gniewny — no! bo nie mam!

— Ale jeśli ci stryju potrzeba czego — przerwała Anna — mów, mybyśmy się postarali.

— A co ma mi być potrzeba? nic — ot, jak przyszło tak i przejdzie.

Kapucyn chwilę tylko zabawiwszy, spiesząc do swoich owieczek, ruszył zaraz w dalszą drogę, rozsypawszy krzyże błogosławieństwa na dworek Sienińskich, a po odejściu jego pan Kasper zamyślony, pozostał na krześle w pokoju Anusi.

Od porwania synowicy widocznie gryzły go więcej niż potrzeba omylone nadzieje, które młodość umie przeboleć łatwo, a wiek późniejszy nie zawsze przeżyć potrafi. Nie dziw, ostatnie to życia kwiaty. Od chwili jak się przekonał, że cała historia owej bogatej wdówki była niepocziwem podejściem, Kasper tak sobie wyrzucał postępowanie swe, łatwowierność i tak cierpiał że się dał oszukać, że aż wymizerniał i do reszty spadł z ciała.

W dni kilka potem coraz czując się gorzej, położył się przed zwykłą godziną — naza-jutrz chciał pójść na mszę i od bramy powrócił, wreszcie całkiem obległ bezsilny. W domu z powodu tej słabości, niepokój stał się wielki, posłano do kapucynów po O. Spirydjona i po doktora w drugą stronę. Nadbiegł o kiju kapucyn, nadjechał stary Niemiec okularowy, i oba uznali, że źle było koło pana Kaspra.

Stary milczał, oczy trzymał wlepione w jedno miejsce, a rękoma wciąż koło siebie niespokojny skubał. Powolnie wywiązywać się poczęła jakaś złośliwa gorączka, która pomimo wszystkich środków lekarskich jakich zaraz użyto, niczem się przerwać nie dała. Życie więcej niż oszczędne, bo niemal niedostateczne do utrzymania sił wiekiem nadwątłych, przyczyniło się też wielce do postępów choroby, na którą złożyły się starość, zmartwienie i wycieńczenie.

Ledwie trochę mu przytomności przyszło by się wypowiedzieć przed O. Spirydjonem, potem, gdy wpadł w malinę, już z niej wyjść nie mógł. Brat i synowica siedzieli nieprzerwanie u łóżka jego, ale miasto żeby go to pocieszać miało, drażnić się zdawało jeszcze. Szarpał się na ich widok, jakby napastników czyhających na jego mienie widział, zaklinał ciągle że nic nie ma, przysięgał że ubogi i miotał w strachu o jakąś szkatułkę, którą ciągle wspominał.

Był to jedyny przedmiot, o którym w czasie choroby mówił, a im silniej wzmagała się gorączka, tem i strach o skarby się powiększał. Na przesileniu wreszcie, nie mając dość siły by je przetrwać, stary poczył się mieć znacznie gorzej, a doktor odszedł nic wprawdzie nie powiedziawszy, ale z bardzo znaczącem kiwaniem głową.

W nocy zdrzemnęła się na chwilę Anna, usnął brat, a gdy się przebudzili nad rankiem, z przestachem nie ujrzeli już starego w łóżku. Biedny obwinęty kołdrą, nie wiedzieć z jakiego powodu, pobiegł w nocy do komina, usiadł skurczywszy się w popiele i tak mizernie życie swe skończył.

Wypadek ten nowe kłopoty, zajęcie i smutek sprowadził na dworek Sienińskich — potrzeba było myśleć o pogrzebie, zająć się sprawami brata, a Jan też ciężki dość, ledwie rady mógł dać sobie. Anna szczerze płakała po stryju, który był dla niej nie raz towarzystwem pożądanem i zabawiał ją gawędką wesołą, lub modlił z nią razem.

Spadek po nim, chociaż ci co go dawno znali jednogłośnie się zgadzali, że musiał mieć znaczne pieniądze, bo miał zrećność je nabyć a skąpił niesłuchanie, nie przyniósł nic oprócz dworku. Przeszukano po wszystkich kątach tych mniemanych skarbów, ale nigdzie ani grosza nie znaleziono. Kuferek zawierał trochę gratów nic niewartych, po kątach izby wałało się mnóstwo butów wszystko starych, gdyż innych pan Kasper nie kupował i nie nosił, nad głowami łóżka wisiał zegarek z jednym indeksem a dwoma kopertami — i nic więcej.

Gdy starca wyniesiono drugiego dnia na Powązki, tak smutną pustką z wonią kadzideł i świec woskowych stał się im dworek, że Anna rada była uciec z niego ale nie było dokąd, musiała zostać i cierpieć. Ona i ojciec przez cały wieczór przesiadzieli modląc się w milczeniu, przygniecenii smutkiem.

Jan przecież prędko ochłonawszy ze smutku tego, wypocząwszy, rozmówiwszy się z ludźmi o nieboszczyku, znalazł sobie zatrudnienie, gdyż nabito mu głowę, że gdzieś koniecznie muszą być schowane pieniądze.

Nic smaczniejszego niż grosz co tak darmo bez potu przychodzi, to też Jan poczył gorliwie poszukiwać go wszędzie, ale na próżno przetrzęsiono górę, piwnice, skrytki, schowanki, szukano, stukając w ściany czy gdzie nie było co zasklepionego, nigdzie nie znaleziono ni śladu.

Nie zraził się niepowodzeniem Sieniński, czas dzieląc między dżrzemkę i odpoczywanie. A że roił o spadku na jawie i śnił o nim nocami, często wstawał mówiąc do Anusi:

— Śniło mi się że nieboszczyk tam a tam skarb swój schował.

Anna ruszała ramionami inny skarb mając w sercu! Ale gdy tak po tygodniowych poszukiwaniach daremnych, marzy raz głośno stary, odpowiedziała wreszcie z roztargnieniem:

— Darmo to szukać podobno, kiedy nic niema, gdyby co było, to chyba w kominie w którym pan Kasper umarł, bo nie próżno tam z łóżka poszedł.

Powiedziała te słowa nawiasem, nie spodziewając okropnych skutków jakie miały spowodować.

Jan aż się pochwycił na tę myśl uderzającą go prawdo-podobieństwem, i w tejże chwili zabrawszy świecę, pobiegł do izdebki pana Kaspra. Komin był zamurowany od dawna niewiedzieć dla czego, może aby chłodu nie prowadził do izby, której ciepła przez skąpstwo lokatora udzielać nie mógł; leżały w nim resztki zbite odwiecznego popiołu i śmieci. Rzucił się na to pan Jan chciwie i nic w nich nie znalazł; uderzyła go jednak wielka szara płyta kamienna przed ogniskiem leżąca, której róg jeden zdawał się trochę wyszczerbiony, jakby ją niedawno czem żelaznem podważono. W kącie stał właśnie gruby żelazny kruczek, który dziwnie się założył pod kamień jakby tam już nie jeden raz był. Sienińskiemu aż serce podskoczyło, dobył wszystkich sił, dźwignął i kamień się poruszył... krew oblała mu twarz z radości, choć z wytężenia uczuł razem jakby coś w nim pękło; syknął tylko i nie zważał na to.

Anna stojąc we drzwiach patrzyła dość obojętnie.

— Ojcze, ojcze, nie morduj się, zmiłuj się, to kamień ciężki, tyś nie silny i chory...

Ale nie było sposobu go odciągnąć, a wezwać do pomocy nie chciał nikogo, żeby się nie wydało co znalazł. Założył kruczek raz i drugi, oba razy poruszył płytę, ale podjąć jej nie mógł — usiadł na podłodze, niecierpliwie pochwycił oburącz kamień, a tak mu dłonie drżały! kogoż bo pieniądze nie oszala, komu do nich nie zabije serce, choć zgrzybiałem i na progu trumny.

Anna widząc że ojciec ostatka sił dobywa, na próżno go błagała w początku by to do jutra odłożył, przyszła wreszcie pomódz mu sama, i tak jakoś we dwoje odwalili płytę pod którą... znaleźli tylko dużo śmiecia i pyłu...

Stary począł go odgrzebywać, a gdy nareszcie ręka jego oparła się o antabkę szkatułki dębowej, krzyknął tak dziwnie że aż się córka przelęka.

— Są! są! pieniądze są! znaleźliśmy i dobrze przeczuła, zawołał prawie nieprzytomny.

Ale tu trudniej jeszcze było niż z kamieniem, bo szkatuła wbita mocno i dawno zapewne niewyciągana, siedziała uparcie w swej kryjówce.

— Do jutra ojcze kochany, prosiła Anna niemal rozplakana, całując ręce starego, do jutra!

Pan Jan nie dał sobie mówić, i zębami, rękoma, krukami, sznurkami pouwiężowanymi rwał do siebie tajemniczą szkatułkę, która się wreszcie ruszyła, przewróciła bokiem i z wielkim mozołem dała wyciągnąć na brzeg. Zaledwie tego dokonawszy Sieniński tak się uczył podźwignięty i schwycony boleścią nagłą, że nie mając czasu zajrzeć nawet co tam było w dobytej kryjówce, dowlókl się ledwie i legł na łóżku pana Kaspra.

Wszystko to razem, jak sen jakiś poczwarny a przerażający, przejęło Annę strachem niewysłowionym. Zaledwie Jan położył się na łóżku brata, którego skarb zakłęty poruszył, ognista myśl śmierci jego, sieroctwa przeleciała serce Anny.

Wybiegła go Hołodrygi chcąc go posłać po doktora do którego już razy kilka chodził, ale żebrak w pół pijany kłął, gniewał się, łajał, gdy go rozbudziła i wyprawić się nie dawał. Chciała iść sama, ale niepodobna było ojca tak zostawić, służąca też rady sobie by dać nie mogła, po nocy wysłana.

Cały więc czas do rana upłynął w niepokoju niewysłowionym i męczarniach chorego. Szkatuła, pierwsza przyczyna choroby, której odkrycie z łzami krwawymi wyrzucała sobie Anna, leżała na podłodze. Jan z oka jej nie spuszczał, ale tak cierpiał poderwawszy się w najniebezpieczniejszy sposób, że już nawet wstać dla obejrzenia nabytku nie mógł. Prosił jeszcze, mimo cierpienia, Anny by mu ją przysunęła, otwarła, ale biedne dziewczę dokazać tego nie mogło, a sługi i Hołodrygi obawiał się Sieniński.

Noc wiekiem się wydała, i gdy pierwsze dzwonki po klasztorach zabrzęczały, przykrywszy wedle rozkazu ojca szkatułę i komin gratami, Anna pobiegła znów budzić i wysłać Hołodrygę po doktora. Choć jeszcze kłął żebrak, ale wytrzeźwiony posłuchał przecie

i poszedł. Nim się dowlókl, dosztukał, wytłómaczył (co mu nie było łatwo, bo go tylko znajomi przywyklszy do jego mowy zrozumieć mogli) — choroba pana Jana, zwykle w takich razach gwałtownie się rozwijająca, już co raz groźniej objawiać się poczyniała. Chory nadedniem począł mieć silną gorączkę, a co najgorzej trwożył już o sobie. Jakaś idea przesądna, przekleństwa braterskiego za naruszenie jego skarbu, owładła jego umysłem i obawa śmierci ogarnęła gwałtownie serce. Doktor, który nadbiegł, przedsięwziął co tylko było można, ale odchodząc spojrzął z politowaniem na Annę, która w rozpacz i przerażeniu traciła całkiem przytomność. Nie było jej komu pocieszyć, pomódz, ratować i radzić, położenie stawało się każdą godzinę rozpaczliwsze. Jak Anioł opiekuńczy zjawił się przed końcem dnia O. Spirydjon, który tylko co powrócił z Jeziornej, gdzie niedobitego w pojedynku wojewodzica T... dysponował. Dowiedział się on o chorobie drugiego brata Sienińskiego, i niezważając na spóźnioną porę i znużenie, przybiegł zaraz do dworku.

Zastał Annę we łzach, leżącą krzyżem przed obrazem Zbawiciela, doktora przy starcu bez nadziei już chorym, zamęt i znowu jakieś przeczucie śmierci, która tak szybko raz po raz nawiedzała ubogą strzechę. Zaledwie go ujrzało dziewczę, rzuciło mu się do nóg płacząc.

— Ojcze! ojcze! ratuj nas! Ojciec mój umiera!

— Cóż to jest? zkąd to? co się stało? czy przypadek jaki? — spytał kapucyn — wszak go niedawno zupełnie zdrowym widziałem.

Anna opowiedziała wszystko i zaszła się znów z płaczu, przypisując sobie przyczynę wypadku, chociaż istotnie chciwość starca była powodem jego śmierci. Nie chciał oczom swym wierzyć O. Spirydjon, żeby słabość mogła się rozwinąć i stać groźną w tak krótkim czasie, poszedł do lekarza, ale ten otwarcie mu wyznał, że gorączka już się poczęła rozwijać a chory żyć nie może.

Trzeba było widzieć oblicze O. Spirydjona, gdy człowiek walczył w nim z kapłanem, obawa ziemską i żal, z poddaniem się woli Opatrzności. Dwie łzy srebrzyste potoczyły się po zwiędłych zmarszczonych policzkach, załamał ręce, milczał, znać było że się łamał z sobą, a przeżegnawszy potem szybko, wskazał lekarzowi ręką pokój bliźki, sam do obowiązku kapłana wracając póki czas było jeszcze.

Jęk biednej sieroty sam jeden przerywał tę uroczystą chwilę, w której dusza chrześcijanina powołana na sąd niespodzianie, przygotowywała się do niego sakramentem najwyższej pokory... Długo mówili z sobą, chory chwilami odzyskiwał przytomność, to znów stękał i bolał okropnie; w ostatku, gdy sprawy duszy załatwił, oddał w opiekę O. Spirydjona Annę i wszystko co miała. Słusznie obawiając się o zebrany mająteczek sierocy, i swoje mienie i to co po panu Kasprze tak nieszczęśliwie zdobył, zdał wszystko na ręce zakonnika dla deponowania w klasztorze. Chciał jeszcze obmyśleć dla Anny opiekę jakąś i wymówił z trudnością imię Ordyńskiego, gdy bole go porwały i dokończyć mu już nie dozwoliły.

Trudno odmalować to czego doznała Anna w tak krótkim przeciągu czasu, dotknięta wszystkimi ciosami boleści jakie tylko może przynieść życie — tracąc opiekunkę, stryja, ojca, wiarę i szacunek dla tego, którego kochała i zostając sierotą tak osamotnioną na ziemi, jak żaden ptaszek, co tylko Boga ma nad sobą, samotniejszym nie jest.

Męczył się jeszcze stary Sieniński dni parę, bez żadnej życia nadziei, walcząc tylko z boleścią... nareszcie śmierć zamknęła mu powieki, a boleśny krzyk Anny rozległ się po pustym dworku razem z ostatniem tchnieniem konającego.

VIII

Dzięki nieodstępemu przyjacielowi i panu de Cerulli, z którym dla gry i dla zbliżenia się do pięknej Julji co dzień był lepiej podczaszyc, życie jego pędem szło w kierunku zguby, wiodąc go na niechybne przepaści. Ale wśród ówczesnego świata i prawie powszechnej rozpusty, upadku fortun, zwalania się imion, widok ten nawet oczów nie zwracał, nie dziwił, nie wzbudzał litości.

— Szumi młodość! — mówili jedni.

— Straci, ożeni się bogato, potem i ustatkuje — dodawali drudzy.

— Tyle jego co pohula! — mówili starsi niedowiarkowie.

Życie to stratne, nieopatrne, pańskie, jak gdyby jutro świat się miał skończyć wygładające, pochłaniało niezmierne sumy. Znowu więc podczaszyc pożyczał bez rachunku, wydawał bez rozwagi, przy nim wciąż ów szatan kusiciel, szeptał mu rady namiętności jego podżegające. On to w oczach jego podejrzeniem szkaradnem śmiał zbrukać Annę, do której skłaniało się serce Ordyńskiego, on pierwszy wskazał mu z kału i bezwstydu wyciągnioną Julję, on go wzywał do gry i plątał siecią towarzystwa, które pomimo imion świetnych, składało się z najzepsutszego steku XVIII. wieku.

Wkrótce pojednano podczaszyc z podkomorzym brańskim, a ten w pierwszej rozmowie dla dogodzenia swej próżności, choć nic nie śmiał powiedzieć na Annę, jednym ją znaczącym spotwarzył uśmiechem.

Podczaszyc zapragnął ból jakiego doznał, krwią rozlaną ugasić, ale nie mógł żądać tłumaczenia się z uśmiechu, i musiał cierpienie skryć w sercu, w którym już trupami leżały, nie jedna dawna boleść i nie jedno wspomnienie.

Miłość dla pięknej Julji ogarniała go teraz całego, a do wzrostu tej namiętności może i położenie kobiety strzeżonej ściśle, przykładało się. De Cerulli zazdrośny czy nie, jako Włoch uchodził za szatana zazdrości, a sam cavaliere dopomagając do miłostek, nieustannie ostrzegał podczaszyc, żeby się na zemstę jego współziomka nie narażał...

W ten sposób podżegano go jeszcze i drażniono. Julja pokazywała mu się w oknie tylko, ale oczy jej miłośno spoglądały na podczaszyc, paluszki wkrótce poczęły słać pocałunki, usta zdawały się mówić — że radaby zbliżyć się do niego. Włoch, jakby nic o tem nie wiedząc, przyjmował w domu rywala, po przyjacielsku zawdzięczając mu co z jego przyczyny wycierpiał, obsypując grzecznościami, pożyczając pieniędzy i t. p.

Podczaszyc kilka razy próbował potajemnie dostać się do mieszkania Julji, choć na chwilę z nią widzieć, zawiązać stosunki jakieś, ale na każdym kroku znalazł nieprzełamaną zaporę — drzwi, ludzie, żelaza i oczy ją strzegły.

— Słuchaj — rzekł zniecierpliwiony tem do Fotofera, przybyłego w odwiedzinę jednego poranku, jak to może być żebym ja się dał temu Włochowi pokonać i odszedł z niczem.

— Wszakem przestrzegał, że czujny i zazdrośny.

— Alboż i takich nie oszukują?

— Wprawdzie trafia się to, ale z mężami nie z kochankami — śmiejąc się, rzekł cavaliere — małżeństwo to ma do siebie, że blachmałem oczy zasłania.

Podczaszyc kwaśno ale przez grzeczność uśmiechnął się z tego żarciku.

— Cóż począć? — spytał.

— A cóż! wyrzec się pięknej Julji! — odparł przyjaciel obojętnie.

— Wiesz, że to być nie może, ja ją kocham!

— Podczaszycu uważaj co mówisz!

— Powiadam że ją kocham! czyż na Cerullego nie ma już żadnego sposobu? Znasz go, jesteście dobrze z sobą?

Cavaliere namyślił się, zmarszczył, zadumał.

— Ha! ha! — rzekł — byłby może sposób, ale to trudno, bardzo trudno!

— Jaki! mów, użyję jakiegokolwiek!

— Przyznam ci się — szepnął po cichu cavaliere — że de Cerulli ma tylko jedną słabość przez którą do niego trafić można. Widzisz na jakiej stopie dom trzyma, co go kosztuje życie, a jednak to człowiek niezmiernie chciwy! kto wie?... może by się połakomił na pieniądze, bo poczyna stękać, że go Julja drogo kosztuje.

— Na pieniądze! w to mi graj! — klasnął w ręce podczaszyc — to najlepiej, zapłacę mu co zechce, niech mi ją odstąpi. Myślisz że ją sprzeda?

— Nie wiem, spróbuję, pogadam, namówię, nie wspominając od kogo wychodzi propozycja.

— *Quid tentare nocebit* — dodał Włoch zacierając ręce, (bo niekiedy łacinę cytując, udawał że był uczniem akademji padewskiej i teologował po troszę).

Podczaszyc uściśnął tak nieocenionego przyjaciela, powierzył mu całkowicie losy swoje i wyprawivszy go z pełnomocnem poselstwem, sam pozostał w domu, niecierpliwie czekając co mu przyniesie. Cały jednak dzień dał niepokojom wzbierać cavaliere, i nie pokazał się aż trzeciego. Ordyński wybiegł na przeciw niemu na wschody, a że miał u siebie kilka osób, porwawszy go pod rękę, zamknął się w gabinecie odległym.

— Co — spytał — jakże idzie interes?
 Cavaliere spuścił głowę — źle — rzekł — de Cerulli ani słuchać chce...
 Podczaszyc ręce załamał.
 — Jak to? za nic?
 — Nie spieszmy — przerwał poseł — kto wie, myśl rzucona, myśl może powoli wyrosnąć w nim, na to tylko potrzeba czasu. Wprzód gdym mu to powiedział, zakrzyczał ze zgrozą, potem w godzinę sam mnie o to zaczepiał... Kto wie co będzie jutro?
 — Więc, choć trochę mogę mieć nadziei.
 — Będziemy robić co tylko można; ty wiesz — dodał pośrednik — jak ci sprzyjam i do jakich ofiar na usługi twoje gotów jestem.
 Skłonił się; wyszli, podczaszyc rozogniony, on zimny i drwiący.
 Znow upłynęło dni parę, w ciągu których durzył się jak mógł podczaszyc, chodząc od okna w którego widział Juljã, do stolika gry i kieliszka.
 Cavaliere się nie pokazywał. Wieczorem trzeciego dnia, oderwał go nagle od stolika i uprowadził do gabinetu.
 — Spieszmy — rzekł żywo — rzecz się zrobić może — de Cerulli potrzebuje tysiąca dukatów, zgrał się trochę wczoraj, zaczął mnie sam o targ, płac i bierz swoją ukochaną.
 Podczaszyc porwał się za włosy, grosza przy duszy nie miał.
 — Ale ja właśnie jestem bez pieniędzy!
 — To nic, pożyczymy choć na większy procent dla pośpiechu, bo tu z godziny korzystać potrzeba: napiszesz potem do Lebedzińskiego, przyszle z Głuszy. Daj skrypt do roku na tysiąc kilkaset, a dziś jeszcze swoją mieć będziesz.
 Ordyńskiemu zawróciła się głowa, siadł, napisał, i zataczając się prawie, rozmarzony do gry powrócił.
 — O północy! — szepnął mu w ucho cavaliere. — Zabiorę ją i przywiozę tutaj, przygotuj dla niej pokoje, bo kapryśnego będziesz miał ptaszka, a ciesz się swem szczęściem, którego ci pierwszy mam honor powinszować.
 To mówiąc Fotofero, schował papier do kieszeni, a uśmiech towarzyszący słowom jego tak był dziwnie chytry i szyderski, że podczaszyc pomimo namiętnego zaślepienia nieco się uląkł.
 Przeszło to jednak jak lekka chmurka. Posadziwszy kogoś na swoim miejscu do gry, poleciał sam urządzać dom, przygotowywać się uroczyście, chcąc obchodzić przybycie pięknej Julji, którą przyjaciółom jako *metressę en titre* miał prezentować.
 Cały tłum gości dowiedziawszy się że sławna z piękności i niecnoty swej pani Kozłowska przechodzi do podczaszyc, podniósł kielichy do góry i zawrzeszczał *wiwatem* przerażającym. Jenerał tylko ruszył ramionami spełniając swój kielich i bardzo zwiesił wąsy.
 — Do diabła! — rzekł do gospodarza — jeśli sobie z nią dasz radę, to powiem żeś gracz!
 — Alboż co? — spytał podczaszyc niespokojny.
 — Ba! posłuchaj księcia Nestora co ci o niej powie! że ładna, to prawda, buziaczek prześliczny, taka bestja że mnie nie raz starego zelektryzowała, ażem sobie pomyślał że dla niej by warto maleńkie głupstwo zrobić — ba! ale z węzem co się z dłoni wyślizga, łacniej byś sobie dał radę niż z nią!!
 — Ale jakąż ma wadę! jaki grzech?
 — Wszystkie ile jest powszechnych i głównych, pospolitych i nadzwyczajnych!
 Cofnął się podczaszyc.
 — Zazdrościsz mi — zawołał — i straszysz!
 — Na ten raz że nie zazdroszczę ci to pewna, przekonasz się rychło. To się nazywa złapał kozak Tatarzyna. Myślałeś żeś sobie skarb kupił, a tu cię tak wystroili, że tylko biedy napytasz. Wiesz o babie przysłowie co nie miała kłopotu.
 — Pleciesz jenerale.
 — Niech i plotę, nalej wina, wiwat piękna Julja, *sileat invidia!*
 Podczaszyc który łatwo ulegał wpływowi drugich pomimo rozkochania, trochę się jenerala pogroźkami poruszył, ale wnet zahuczano proroka kłopotów, zapito sprawę i oczekiwano gwarząc wesoło północy i instalacji Julji na nowem gospodarstwie.

Wieczera wspaniała w mgnieniu oka przygotowaną została. W zamku, gdzie generał miał wielkie stosunki z Tremo i Schützem, prawie zawsze dostać było można pasztetów, cukrów, ciast, galaret i t. p., posłano z karteczką karetę i wszystko w mgnieniu oka przybyło, choć suto opłacone, ale duchem gotowe. Wino, owoce, likwory, znalazły się w sklepach na rozkaz, a sala jadalna przed północą połyskiwała blaskiem lustr, świec jarzących, zwierciadeł, porcelany i brązów, wśród których zielone gałęzie kwiatów i owoce misternie rozrzucone, ślicznie stanowiły obrazek. Umiano naówczas tak ustawiać stoły, że i dla oczu pięknymi były i pociągającymi dla smakoszków; dziś to już zapomniana sztuka.

Północ wybiła na zegarach miejskich, gdy turkot karety zastanawiającej się w dziedzińcu, wszystkich ustawił w szeregi ciekawe. Podczaszyc wybiegł, drzwi się otworzyły szeroko, i piękna Julja wiedziona przez Fotofera, ukazała się na progu oglądając śmiało po zgromadzeniu. Ordyński podał jej rękę z uczuciem wpatrując się w tę twarzyczkę, która w tej chwili dość surowa i zimna, zdawała się przypatrywać i liczyć nowych poddanych.

I zblizka była piękną ta sławna Julja! uroczo piękna, ale dziwnym wdziękiem kameleona, który nie mając własnego wyrazu, z łatwością niepojętą zmienia się i przeistacza co chwila.

Łagodność dziecięcia, surowość sędziego, powaga królewska, zalotność dworki, wesołość dziewczyny wiejskiej, chmurne oblicze smutku wdziewała jak maskę i jak maskę zrzucała, tak, że trudno było powiedzieć czem była w istocie. A w tej grze nie było zimnej wprawy kunsztownie nabytej, ale potworność wrodzona, bo Julja pomimo obcowania z wielkimi panami, dość pospolitą była kobietą; umiała tylko nadać sobie wiele wdzięku niemią postacią, choć usta zdradzały ekonomowę.

Gdy weszła, oczy wszystkich zwróciły się na nią, znowu podniosły się przygotowane kielichy, i szumny toast któremu towarzyszyła muzyka, podniósł się na sali. Julja uśmiechnęła się tylko, spojrzała w twarz podczaszycowi, jakby mu się bliżej chciała przypatrzeć, odwróciła z lekkim ukłonem do gości i siadając na pierwszym miejscu, gdy przechodzili przez salę jadalną zawołała:

— No, siadajmy jeść Michasiu! jestem okrutnie głodna, do trzysta djabłów!

Okłaskiem przyjęto ten wykrzyk grubijański, podczaszyc się trochę zmarszczył, ale humorem nadrobił i przysiadł się przy królowej uczty, która na początek kieliszka likworu zażądała.

Jenerał trącił w bok łokciem sąsiada.

— Takuteńka była u ks. Nestora, szatan baba, zobaczycie dalej!

Niektórzy z biesiadników co jeszcze pięknej Julji nie znali, na widok niespodziany przesłicznej kobiety, której mowa i głos w takiej były sprzeczności z wrodzonym wdziękiem, ogromne zrobili oczy, inni poklaskiwali oryginalności. Ordyński widocznie nie bardzo był rad swej ekscentrycznej kochance, wołał by był pospolitszą, ale cóż było począć?

— Ja ją przeistoczę — rzekł pocieszając się w duchu!

Zaczęła się rozmowa do której w początku nie wiele się mieszała piękna gospodyni, ale zaspokoivszy głód pieczysem a pragnienie kilką kieliszkami cypryjskiego wina, które jej wcale główki nie zawróciło, rozochociła się jakoś.

— Widzę po tej kolacyjce — rzekła odwracając się do podczaszycy, którego bez ceremonji pocałowała głośno przy rzęsistych brawach — że z ciebie porządny chłopiec i dobry gospodarz, wypiję twoje zdrowie, podobasz mi się doprawdy.

— Zdrowie podczaszycy! — huknęła za Julją kompania.

— Będzie mu tu zdrowie! — szepnął jenerał!

Wszystko aż do ostatniego wybryku zwyczajko uszło pięknej Julji — wdzięk twarzy tak zaślepiła!

W tem, ktoś z młodszych przypomniawszy sobie stare obrzędy nasze weselne, które modą było naówczas wyśmiewać, zaproponował żeby nowożeńcom sprawić kompletne na śmiech wesele. Pokłasnieto tej szalonej myśli; Julja że się bawić lubiła, pochwyciła ją z zapalem i nuż wybierać drużbów, marszałków, oratorów, swatów, znosić marcepany i podarki.

Podczaszyc z początku i to dość chmurno przyjął, ale jak się oprzeć tłumowi, który wre, opanowuje, zakrzyczy? Właśnie naówczas grywaną i drukowaną była komedyjka dość licha: *Pan poznany*, w której na scenie wyśmiewano nasze stare poważne oracje,

a że dwóch obecnych, podkomorzy brański i ktoś drugi umieli te krotocwilne mowy, zmuszono ich by udawali organistę, oddającego wieniec na wiejskim weselu, i bakałarza mówiącego od panny. Charakterystyczna to była scena, w której cały ów wiek się malował, nieumiejący poszanować przeszłości, bo jej nie rozumiał. Organista zaimprovizowany, umówiwszy się z mającym mu odpowiadać, tak rzecz rozpoczął:

— „Antypatyczny bystrego lotu i wysokiego humoru orzeł, gdy się nad niebotycznym Karpatem unosi, wybijawszy nad złotolite perlorodnego Olimpu bisiory, twarz w twarz, oko w oko, niezmrużoną źrenicą zagląda Tytanowi, a potem skierowawszy ją do purpurowego zodiaku, ślicznych i licznych gwiazd nieporuszonemu przypatruje się obroto- wi. Skoro jednak myśliwskiej trąby rezon ciekawym zachwyci uchem, leci jak szalony do znajomej sobie myśliwskiej ręki. Tak właśnie bystrolotny zapęd rozbujanych afektów JMpana Michała Alfiera mego wielce miłościwego pana, gdy od jednej do drugiej prze- latywał piękności, ani w słońcu, ani w gwiazdach nie znalazł wypieszczonych wdzięków, ile ich upatruje w liliowej twarzy...

— A pfe! — syknął generał.

— Co pan masz przeciw twarzy liliowej? — spytał orator.

— Że gdyby była liliowa, nie byłby do niej pan podczaszyc tak przyłgnął — rzekł generał — ale proszę kontynuować.

Śmiech trochę przerwał mowę, ale orator począł dalej.

— W liliowej twarzy, w koralowych wargach, w srebrnolitych oczach...

Generał znowu zaprotestował.

— Patrz-że pan w oczy nie w sufit, to w nich srebra nie znajdziesz.

— Cóżem ja winien że tak w tekście stoi.

— Poprawuj pan tekst...

— A zatem, kiedy chcecie, w czarnoognistych oczach i piersiach alabastrowych...

— Daj to Boże! — rzekł generał cichuteńko.

— Alabastrowych — mówił dalej orator — JMpanny Julji. — Niech ustąpi przed nią Diana...

— Ba, to prawda — szepnął ktoś z tyłu. — Dianie się z nią nie mierzyć, ta Endymionów sobie nie żałuje.

— Niech Kalipso i z swoja Dydoną za piec się schowa, żadna ją bowiem piękność skomparować nie może. Wszakże i JMpanu Michałowi niczego! Owa rażność, owa kibić, owa talia wszystkich na siebie oczy porywa!

— Świadkiem trędowata wojewodzicowa, która by była dała folwark chętnie doży- wociem za pana podczaszyca — szepnął znowu generał.

— Miło patrzeć kiedy — (za pozwoleniem), przerwał sobie orator — tu sęk!

— A co tam takiego?

— Sęk powtarzam, oracja organisty mówi o Bartku *simpliciter*, a ja o podczaszym Michale, tamta wychwała jego czyny wieśniacze, cóż ja mam począć, czy zostać organistą Bartkowym, czy oratorem Ordyńskiego?

— Mów już lepiej jak organista — rzekł generał popatrzywszy na twarz gospodarza, bezpieczniej to będzie; gdybyś zaczął komponować może by ci się nie tak udało.

— Istotnie, bezpieczniej cudze powtarzać — odparł orator, *subintelligitur*, więc że podczaszyc jest prostym parobkiem, a panna Julja prostą wiejską dziewczką.

— Jak sobie chce — przerwała gosposia — ale mi WMpan nie praw jakich imper- tynencyj, bo jak mi honor miły! zamałuję bez ceremonji!

— O! nie głupim — rzekł orator — zostawiam mowę drugą bakałarzowi, z tamtym pani zrobisz co się jej podoba.

— Mów dalej, mów dalej! słuchamy! cicho!

— Cicho!

Organista więc ruszył dalej, i tak rzecz ciągnął gestykując pociesznie:

— Miło patrzeć, kiedy on bohaterskim krokiem stanąwszy na łące, tysiączne nieprzy- jaznych kwiatów nieuchronną kosą swoją lby ścina, miło patrzeć kiedy idąc za pługiem, pieniące się jego potem zagony z gruntu wyraca. Nie zapominam tu *magna nomina et numina* zacnych jego antecessorów. Wiadomo światu sarmackiemu jak wielkim był

w ojczyźnie mężem jego stryj rodzony, który będąc znanym hajdukiem u jegomości pana stolnika piltyńskiego WMpana i brata, w takich u niego był respektach, że często w jednym z nim pokoju miluchno acz na podłodze zasypiał. A cóż mówić o zacnym jego wuju niemniej? który będąc biegłym w żeglarskiej sztuce rotmanem, niestrwożonym sercem wypatrował się za Gdańskiem z suchego łądu szumnym oceanu falom, i wielkie w ojczyźnie zostawił zasługi, nawożąc do nas toruńskich pierników. Z tej tedy prozajpi pochodzący *in linea directa* dzielny JMpan Michał, bombardującami affektu swego taranami długo szturmowawszy do jej twardego serca, gdy całe już je sobie podbił, chce teraz tym zwyczajnym wieńcem który ofiaruje, ukoronować. Chciej-że go przyjąć WMpanna wdziękorodną rączką swoją, którąś go za serce ujęła. Niech faworyzująca fortuna wywija dla was złote szczęścia pasamany, niech Pallas do najwyższych honorów w ojczyźnie bramy wam otwiera, niech lata Nestorowe przędzie Libityna. *Dixi!*

Oklaski znowu i śmiechy powstały, choć niedość dowcipną oracją wywołane, podczaszyc tylko choć z innymi bił w dłonie, jakoś smutnie głowę zwieszał.

Bakalarz, który miał od panny prawić odpowiedź, zdaleka wlaższy na ławę tak zagaił perorę:

— Stanąwszy przed tak ślicznym, licznym i pompatycznym gronem, nie wiem zkąd mam począć, zacząć i rozwinąć osnowę mojej że tak się wyrażę perory. *Auditores ornatisissimi!* Zadrzał by od strachu, choć nie widząc zamachu Marcus Tulljusz, a Cicero nie śmiałyby i gęby otworzyć, gdyby mu przyszło przed wami oracją tworzyć, jako się sam z tem nie tai *in principio dicendi totis artibus contremisco* — wszakże, atoli, przecie, jednakże muszę perorować i admiirować *mibi jussa capessere fas est*. Gdy się waleczny choć niestateczny Virgiliusz Flaccus zalecał do Didony, temi go słowy przywitała: — *Non ignara mali miseris succurrere disco*.

Na te słowa hałaśnie poczęli się śmiać wszyscy, a niektórzy aż za boki biorąc, Julja się zmarszczyła, nachmurzył gorzej jeszcze podczaszyc, ale że jejmość łaciny nie rozumiała, przeszło to jakoś płazem.

— Podobnym affektem i wdzięcznym respektem przyjmuje dary i ofiary od JMpana Michała zacna dama JMpanna Julja, chociaż nie taję, że w myśli staje przestroga udzielona Lacedemończykom przez Annibala — *Timeo Danaos et dona ferentes*.

Nie myślę ja tu wyprowadzać zacnych JMpanny Julji przodków i niewyrodków, wszakże, atoli, jednakże, nie godzi mi się zamilczeć wielkich talentów, ile że z fundamentów, przezacnej jej ciotki, która jeszcze w kwiecie młodości swej służąc w Warszawie przy pięknej sławie, całe dnie i noce w sklepiku trawiąc, szostakowego piwa hojnie i spokojnie wszystkim udzielała...

Jeszcze tych słów nie domówił bakalarz, gdy piękna Julja błyskawicą podbiegła ku niemu i rozgniewana, potężny, głośny, tytaniczny wycięła mu policzek. Zamieszanie ztąd powstało wielkie, śmieli się jedni, urągali drudzy, piszcząc bakalarz chcąc koniecznie oddać swoje choć konceptem. Podczaszyc chodził jak chmura jesienna, a przerwany obrzęd na tem się przecie zakończył, bez marcepanów, ceremoniału oddawania w łożnicy, pokładzin i reszty. Goście zmęczeni powoli wysuwać się zaczęli, a piękna Julja jeszcze uspokoić się nie mogła, latając po pokoju i wołając krzykliwie:

— A to impertynent! a to gałgan jakiś! patrzaj go! nieprawda! Nigdy ciotki nie miałam w szynku, siedziała w Warszawie, no to siedziała, ale za swojemi interesami, co jemu do tego!

— Każda Teresa ma swe interesa! — mruknął wynosząc się także i z flegmą żegnając gospodarza jenerał. — Dobranoc ci panie Michale... a ot i ranek już w oknach!!

Jeszcze kilku niedołanych pijaków ziewało i krzyczało przy kielichu w sali, gdy jasny dzień nowemu życiu biednego Ordyńskiego zaświecił.

IX

Anna nie miała ojca. — Zimne jego zwłoki czarny wóz i szereg księży wywiódł na cmentarz miejski, gdzie w tłumie mogił tysiąca, wkrótce tej jednej znaleźć nie będzie można. Za trumną, prócz Anny w żałobie i we łzach, nie było prawie nikogo; posłano do podczaszycy, bo go O. Spirydjon myślał śmiercią starego sługi obudzić, ale kogo zgon matki nie wyrwał z szarów rozpusty, mógłże zgon obojętnego poruszyć człowieka? Podcza-

szyc właśnie był po wczorajszej uczcie weselnej. Zamknięty z piękną swą Julją, gdy mu o śmierci Sienińskiego oznajmiono, przeczytał kartkę, ruszył się i upadł na kanapę. Anna mu przyszła na myśl, jej sieroctwo, opuszczenie, czekający ją może niedostatek. Żal mu się trochę zrobiło dziewczęcia, potem zagadała zemsta, przemówiło lenistwo, zawarczała namiętność, odłożył do jutra i na pogrzeb nawet nie poszedł.

Jedynym opiekunem Anny pozostał O. Spirydjon, który w niepokoju o los jej, choć nie doradzał zakonnego życia, namawiał na schronienie w klasztorze. Było to w kilka tygodni po pogrzebie, a dziewczę już ochłonawszy z pierwszych wrażeń co je w początku przybiły, odzyskiwało wolę, zapal i siły. Oplakując ojca, Anna nie straciła z oczu towarzysza swej młodości dla którego tu przybyła, chciała go ratować jeszcze, a uczuwszy się teraz swobodniejszą, myślała dziełu przez starościnę wskazanemu jej we śnie, poświęcić się teraz cała. Klasztor więc nie odpowiadał wcale jej zamiarowi, musiała pozostać wolna, a nie chcąc i nie mogąc mieszkać sama, odezwała się śmiało o radę do O. Spirydjona.

— Wszak może ufność twą zyskałam ojczel! — odpowiedziała mu — widziałeś mnie w różnych życia wypadkach, znasz mnie trochę! chcę pozostać sama i swobodna, nie tąję dla czego, bo muszę ratować podczaszycę. Jak? nie wiem, ale silnie chcę i starać się muszę!

O. Spirydjon ruszył brwiami i zażył tabaki.

— To mi się nie podoba — rzekł — bo to nie kobieca rzecz, rady sobie nie dasz, a zgubić się dla niego łatwo. Ja ci dziś wierzę moje dziecko, ale czy jutro pozostaniesz tak jak dziś, nie ręczyłbym. Ludzka natura jak garnek, o którym póki surowy nie mówić, aż się z nim ukrop zagotuje.

— Ale ty ojczel znasz najlepiej, że serce mam dotąd niezepsute, a gdyby w nie co złego wkraść się miało, wierz mi, poczuję i przyjdę po radę.

O. Spirydjon zamilczał.

— Ale cóż myślisz począć, szalona głowo? — zapytał ruszając ramionami.

— Sama nie wiem; robić będę co można, czem mnie natchną okoliczności. Środki zależą trochę od tego co mi ojciec i stryj zostawili; nigdy cię ojczel nie pytała o to, dziś proszę powiedz co mam?

— Właściem ci o tem przyniósł wiadomość — odpowiedział kapucyn dobywając papierów z rękawa — wezwałem kilku świadków, zrobiliśmy rachunek i — tu spojrzął na dziewczę okiem badawczym śledząc każde jej drgnienie — i powiem ci, że jesteś bogatą, bardzo bogatą nawet.

Anna zarumieniła się jakby z radości.

Ksiądz zasmucił się.

— Cieszysz się? — spytał.

— Cieszę się — odpowiedziała — bo użyję tego grosza aby go wydzwignąć i uratuję! Bez dostatku trudniej by mi to może dokazać było. Ale zkadże te niespodziewane bogactwo?

— Nie potrafię ci tego wytłumaczyć — rzekł staruszek — ojciec twój w pocie czoła zebrał ci kilka tysięcy czerwonych złotych, pan Kasper nie wiem jakim sposobem zostawił ich po sobie z czystym złocie kilkadziesiąt tysięcy, dość piękne klejnociki, oszacowane także na tysięcy kilka, skrypta pewne i zastawy.

— Jakże mu to przyszło?

— To tajemnica między nim a Bogiem; wiem, bo duszy jego byłem stróżem, że złemi środkami nie dorobił się tego mienia, ale kilkadziesiąt lat niesłychanego skąpstwa nie lada co może.

Anna zamyśliła się jak na modlitwie ze złożonemi rękoma i po chwili wstała.

— Więc mogę — zapytała — pokazać mu się dostatniej? może też choć tak ku sobie go pociągnę z tej otchłani.

— To straszna igraszka — rzekł surowo kapucyn — czynisz to w niewinności ducha, co zgubić może! Ale strzeż się na Boga, radź sumienia, nie ufaj siłom swoim, bo nie jedna tak zginęła.

Anna uklękła całując drżące dłonie O. Spirydjona, i prosząc go o błogosławieństwo.

— Święty mój ojczel — zawołała — czyste mam myśli i zamiary, biorę za świadka tę moją opiekunkę, która mi z nieba powierzyła dziecię swoje — nie chcę mojego szczęścia, chcę zbawienia jego! Niech ja zginę, byleby on ocalał. Kocham go, nie zaprę się tego, ale

go odstąpię byleby szczęśliwym był pocziwem szczęściem, błogosławionem przez Boga. Przeżegnaj mnie ojciec i nie lękaj się o mnie.

Wstała tak promienista zapałem, że starzec pokonany w milczeniu, nic już nie rzekłszy odszedł. Znać było jednak, że się nie mało frasował.

W kilka dni potem, Anna za poradą kapucyna, który miał styczność z ludźmi klas różnych, przyjęła do domku swego wdowę, niegdyś majątną, dziś zubożałą, niejaką panią Wąhorską, która jej nieodstępna odtąd towarzyszką być miała. — Wybór ten był dość szczęśliwy, bo jej wychowanie, charakter i hart z jakim przetrwała doznane nieszczęścia, rękojmię na przyszłość dawały. Mąż jej niegdyś zamożny obywatel z pod Płocka, mając szczególną familijną od dziadów jeszcze żyłkę do procesów, pomimo najusilniejszych perswazyj żony, do ostatniej koszuli się pieniał i umarł zakładając apelacją od jakiegoś dekretu. Skutkiem tej przeszłej w nałóg namiętności do procesów, Wąhorscy stracili co mieli do szeląga, a matka została z dwojgiem dzieci na bruku. Mając dawnych znajomych i stosunki w Warszawie, udała się do stolicy, gdzie jakąś resztką poczynszy utrzymywać studentów, z tego się żywiła. Tymczasem własne jej dzieci poumieraly, widok cudzych tak boleśnie pocziwie jej serce rozraniał, że musiała swój chleba kawałek na cięższy daleko odmienić. Założyła więc pralnię batystów i koronek, tak naówczas używanych, które nieraz aż do Paryża wykwiłtniejsi posyłali, i z tego zapracowanego ciężko chleba, utrzymywała się ubogo. Pomimo że jej pomagano ceniąc cnotę, pobożność i szanując nieszczęście, jakoś i tu nie bardzo się jej wiodło, a że była charakteru łagodnego, nie mogła sług w przyzwoitej utrzymać karności.

Gdy więc O. Spirydjon zaproponował jej przez kogoś żeby zamieszkała z Anusią, pani Wąhorska chętnie się na to zgodziła, a dziewczę wyczytawszy na bladej twarzy wdowy ślady cierpienia i wyraz rezygnacji, przyjęło ją jak matkę. Dziwnie też przypadły do siebie te dwa charaktery; pani Wąhorska, jako kobieta co najdziwniejszych zmian losu doświadczyła, ufna była w przypadki dziwne, w zmiany niespodziane, w siłę woli własnej i pomoc Opatrzności. Anna na tem także opierała nadzieje któremi żyła. Pierwszego zaraz wieczora, całe już życie swej towarzyszki знаła pocziwa Wąhorska, oblawszy je rżęsiem łzami, przerywając opowiadanie pocałunkami co chwila, bo jej ten uścisk dawne macierzyństwo przypominał. Choć dziwnem się jej zdało że Anna chciała, ufna w swe siły, ratować człowieka do którego nawet dostąpić nie mogła, wierzyła jednak w ratunek, opierając się jak Anna na snach, w których się starościna po trzykroć jej ukazywała.

Dwie kobiety znalazły w sobie źródło pociech niewyczerpane i gorąco się pokochały. Anna prócz tego zaludniła swój dworek kilką sługami, Hołodrydze tylko przez litość zostawując dawny kątek przy bramie. Wzięto się zaraz do odświeżenia domku, a że w mieście byle pieniądź wszystko łatwe, w kilka tygodni stanął jak lalczka ze zmienioną skromną ale wdzięczną powierzchownością, obmyty ze starej rdzy i brudów.

X

W kilka dni po owym wieczorze u podczaszyca, który zakończył tak dobrze wymierzony policzek, cała Warszawa mówiła o Julji i Ordyńskim. Uderzenie oratora szczególnie szeroko się głośnie stało, bo o niem nawet przy rannej tualecie królowi JMci opowiadał Bacciarelli, nie bez dodatkowych szczegółów o Julji, bo z niej raz malował Venus wychodzącą z morza, co mu ją ze wszech stron dobrze poznać dało.

Jenerał w tydzień coś potem, przyszedł swoim zwyczajem rano do dawnego pupila.

Zastał go przed zgasłym kominem w małym pokoiku, z głową spuszczoną, z oczyma zapadłemi, z miną nadzwyczaj kwaśną.

— Jak się masz Ordyński? — zawołał z progu — a co? jak się tam powodzi *in nexu quasi matrimoniali*?

— Ba — odpowiedział podczaszyca siląc się na blade uśmiech — jako tako! — Ale i uśmiech i słowa rozlały się w jakimś wyrazie znużenia.

— Cicho! cicho! jenerale.

— Co to jest? i dla czego?

— Julja tuż śpi w drugim pokoju, dała by mi dopiero, żebyśmy ją przebudzili!

— A no! to chodźmy ztąd gdzie indziej.

— A nuż zbudzi się i wstanie?

— To co?

— Potrzeba żebym był zaraz gdy oczy otworzy.
 Jenerał się rozśmiał w kułak.

— A to cię widzę spętała! Cóż u kata? boisz się jej, czy co?

Podczaszyc ruszył tylko ramionami, trudno mu się przyznać było, wyszli na palcach do gabinetu, jenerał posłał swoim obyczajem po zwykłe śniadanie, ale pokazało się, że klucze wszystkie były pod poduszką u pani.

— O! o! a to widzę okulbaczyła cię kompletnie — zawołał stary ruszając ramionami niecierpliwie — poszlijże do cukierni.

Posłano do cukierni, a podczaszyc zawstydzony, śmiechem nadrabiał.

— A no, kochany panie Michale, spowiadaj że mi się szczerze, to coś widzę zakrawa na niewolę Babilońską, jeśli tak potrwa, wypadnie zakasawszy poły uciekać.

— Ale to tylko pozory! pozory! — zawołał podczaszyc. — Julja rzeczywiście trochę dziwaczna, ale jej serce...

— Gadaj o sercu któreś za miły grosz kupił!

— Wszakżeśmy się kochali wprzód?

— Kpij zdrów z tego kochania, serca niema u takiej kobiety; że piękna jak Venus nie przeczę, ale to podobno pierwszy jej i ostatni przymiot, no, gadaj szczerze i radźmy!

— A jak posłyszysz? — rzekł oglądając się podczaszyc — albo nas kto posłucha i doniesie?

Baucher się rozśmiał głośno, tak, że Ordyński znów zląkł się, by śmiech jego nie obudził pani.

— Na miłość Boga cicho! — zawołał — niechże sobie śpi! nie budź licha!

— No, no, będę się wstrzymywał, gadaj mi otwarcie, to widzę Herod baba, trzeba na to lekarstwa.

— Ale ja ją kocham!

— No! no! przez punkt honoru! — odparł stary trzęsąc głową — jesteś widzę jak ten szlachcic ze wsi, co gdy w garkuchni za obiad zapłaci, musi go zjeść do pylinki, choćby mu bokiem wylażył.

Ordyński się uśmiechnął.

— Masz jej dosyć, jestem pewny — kończył jenerał — djabeł ci ją nadał, gotowa nam do licha zamknąć dom wesoly i jeszcze cię na prawdę z sobą ożenić, tego ja sobie nie życzę.

— Słuchaj jenerale, ale ty jutro roztrąbisz po całym mieście co ci powiem?

— Michasiu! chyba się upiję — odpowiedział dobrodusznie Baucher — po trzeźwemu nie zdradzę.

— Ależ jenerale, ty się dziś jeszcze upijesz!

— Wszystko to być może, ale jak ci dam trzeźwe i pijane słowo honoru, rachuj na mnie, te ci daję!

— Cicho tylko.

— Cóż więc?

— To szatan z piekła rodem ta kobieta! — zawołał podczaszyc łamiąc ręce.

— A com ja ci mówił, nie trzeba było kota w worku kupować.

— Stało się!

— To i odstać się może, czem ci u licha tak dojadła?

— Wystaw sobie jędzę — złośnicę, zalotnicę nieposkromioną, chciwą jak żyd, podejrzliwą jak szatan, a wdzięczną i piękną jak posąg grecki kobietę.

— Tu sęk! — rzekł Baucher.

— Owładła mi domem, kuchnią, ludźmi, pieniędzmi, przyjaciołmi, wszystkim co moje było, co mnie otaczało — stałem się niewolnikiem, kryć się muszę i męczyć jak w piekle.

— No! ale ładna bestja! — rzekł śmiejąc się stary, i dodał namyślając się: — Potrzeba się z tego wycofać!

— Niepodobna.

— Jakto, niepodobna?

— Ale ja za nią szaleję!

— Toś warjat!

— Może, ale tak jest!

Jenerał popatrzył, ruszył ramionami i zaczął pić czekoladę.

— Pomyślimy — rzekł — ale cię to widzę nie mało kosztować będzie.

— Zna to że mnie opanowała — dokończył podczaszyc — rzuca mną teraz jak dzieckiem; jeszcze na dobitkę, wystaw sobie jenerale, co dzień pod oknem tego nieszczęśliwego Kozłowskiego z jego łysą jak kolano głową, który patrzy w okno moje, dobija mi się do drzwi, awantury wyrabia i tłumy tu sprowadza... gdy ta Nielitościwa najniegodziwiej szydzi z biednego warjata!

— Pfe! tu już coś zarywa na tragedję — rzekł jenerał — pomyślimy... a gdybyś uciekł?

— Powiedziała mi wbrew, że tyłu już miała kochanków, którzy się z nią nie ożenili chociaż obiecywali, iż musi teraz pójść za mnie com jej nic nie przyrzekł!

— Czuje żeś słabizna! a mąż?

— Mówi że ma rozwód w kieszeni.

— Kiedy tak — rzekł przyjaciel — to nie przelewki, poznała cię że z tobą zrobi co zechce, potrzeba się ratować, bierz paszport i uciekaj gdzie pieprz rośnie.

— Ale bo mi jej szkoda!

Jenerał dziwną zrobił minę i umilkł.

— Widzę — rzekł — że cię niechybnie ta djablica ożeni z sobą, a żal mi cię kochanie. Mógłbym ci wyrobić u króla jaką misję do Stockholmu lub gdzie daleko, aleś ty widzę ugrzązł, a baba cię poznała na wylot. Rób-że sobie sam co chcesz.

Podczaszyc pochodził po pokoju wielkimi krokami zadumany i odezwał się z goryczą.

— Ha! nażyję się, nażyję! a potem sobie w łeb strzelę!

— Tak!! — podchwycił jenerał patrząc mu w oczy — widzę żeś na drodze do czubków! Trzeba ostatniego warjata żeby to zrobić! Chybaby mu gęba zarosła żeby już pić i jeść nie mógł!! Wierz mi, życie takie warte swoje trzy grosze, a pistolet najgłupszym jest instrumentem.

— Tak! — rzekł podczaszyc z rozpaczą i dziwną jakąś łzą w oczach — świat nie wiele wart, wysmoktać go, wysmoktać, a z lupiną precz do stu djabłów!

— Ha! na desperacją ci się widzę kochanku zebrało. Ależ rozsądny człowiek póki ma grosz, zdrowie i dobry żołądek, nigdy desperować nie powinien, bo to wielkie, wielkie głupstwo!

— Ty tego nie rozumiesz nigdy jenerale!

— Istotnie, ani się na to silę — jak na wiersz Trębeckiego, którego słucham z przyjemnością, ale i nie myślę głębokich jego arkanów penetrować.

W tej chwili dzwonek, którym gniewna miotła ręka, rozległ się hałaśliwie w przedpokoju; dom przed chwilą cichy cały zatętniał żywymi krokami biegnących ludzi, a choć wszystko się spieszyło i leciało co tchu, już slychać było łajanie pięknej Julji, która zawsze burzą dzień rozpoczynała. Podczaszyc porwał się także i nie żegnając nawet jenerała, wybiegł ku sypialni, do której z jednej strony zdyszana służąca, z drugiej chłopak z kawą, z trzeciej lokaj z ciastem spieszył, bo pani ledwie otwarłszy oczy, w łóżku zwykła była jeść śniadanie.

Jenerał spojrział na to okiem doświadczonego postrzegacza, potrząsł głową upudrowaną, wargę dolną wychylił, czoło zmarszczył i biorąc kapelusz pod pachę, arcykomicznie szepnął sam do siebie:

— Ka-put!!!

Na szerokim łóżku osłoniętem firankami z ciężkiej pąsowej materji, ozdobnej złotą szmuklerszczyzną, w przejrzystych osłonach, na miękkim łabędziem posłaniu ubranem w przepyszne koronki, leżała piękna Julja, leniwie czarne otwierając oczy. Tuż przy niej siedział posłuszny podczaszyc, stała panna i stoliczek z kipiacą kawą.

Ziewnęła i powoli rozwarła powieki.

— Żle spałam! — zawołała — a! jak mnie głowa boli! dla czegoś tak rano wstał? — spytała — chodziłeś gdzie? — Spojrzała mu w oczy, aż się biedny zmieształ.

— Ja? nigdzie.

— Kłamiesz! nie byłeś w drugim pokoju, leciałeś aż z trzeciego gdym zadzwoniła.

— Tak jest!

— Poco-żeś tam poszedł?

— Miałem u siebie jenerała.
 — A mówiłam ci żebyś tego starego wieprza nie przyjmował.
 — Co mówisz! to najlepszy mój przyjaciel!
 — Do kieliszka, do sakiewki — tyś łatwowierny jak dziecko, a oni cię odzierają.
 Podczaszyc uśmiechnął się boleśnie.
 — To go nie przyjmę więcej! — rzekł cicho.
 — Pleciesz! póki ja go nie odprawię, ty sam sobie rady nie dasz, ale ja staremu trut-
 niowi tak zaleję za skórę, że tu więcej noga jego nie postanie.
 — Zlituj-że się, co on ci winien?
 — Nie lubię go! Stary, paskudny! Hej! gałgany, kawa pani ostygła! — dodała z gniewem.
 Podczaszyc pochwycił sam tacę i z nią wyprzedzając ludzi do kawiarni poleciał.

XI

Takie było położenie Ordyńskiego, a Anna która wiedziała o wszystkim, z bijącym sercem śledząc każdy ruch jego nad brzegiem przepaści, łamała ręce, szukała sposobów i nic nie umiała poradzić. W głowie i sercu swoim badała, środków jakimi by go wyrwała z rąk kobiety i ludzi co do ostatecznej ciągnęli go zguby, ale pomysły były szalone jak uczucia, a w biały dzień na zimno począć co one doradzały, nie miała odwagi.

Wąchorska, której mąż jakiś czas trzymał dzierżawą majątek z Lubomirszczyzny, co ją potem Ponińscy wzięli po żonach, a gdzie właśnie i Kozłowski służył, znała tę kobietę z widzenia i przez drugich, słyszała potem wiele o niej w Warszawie i odmalowała Annie w tak przerażających kolorach, w jakich ją cały świat widział. Było to wadą biednej wdowy, że choć ją nieszczęście przybywające złamać nigdy nie mogło, zbytecznie może przewidywała je i przeczuwała, wszędzie najgorsze wróżąc skutki, bo do pomyślności nie była przywykła.

Mieszkanie Anny tak daleko leżało od domu, który zajmował podczaszyc, że widzieć go i wiedzieć nawet o nim dość było z tego powodu trudno. Mimo oddalenia jednak, Anna chodziła najkrętszą wybierając drogę do kościoła Kapucynów, by idąc spojrzeć choć w okna Ordyńskiego, czasem go spotkać na ulicy, czasem z daleka życia jego widzieć urywek.

Jednego poranku kiedy wciąż prosi Boga, żeby jej dał siły i potrzebny do czynu kierunek, z Wąchorską razem wyszła na mszę do kościoła, swoją zwyczajną a najdalszą drogą. Mijając dom podczaszycą spojrzała ukradkiem w okna, firanki były pozapuszczane, wszystko w nim milczało i zasypiało po burzliwej może nocnej zabawie. Westchnęła Anusia, a w tem o kilka kroków, niepostrzeżony wprzód spotkał ją podczaszyc. Szedł on przeciwko dawnemu zwyczajowi swemu pieszo, — bo konie i powozy zostawały pod dyspozycją pani — blady, wyniszczony, zmieniony do niepoznania i straszliwie smutny. W twarzy jego nie rozpacz ale jakieś malowało się zubożenie, patrzył i nie widzieć się zdawał, żył bez uczucia życia, szedł jak bez celu... miał pozór pijanego... Na wąskiej ścieżce spotkali się nagle z Anną, oczy ich zetknęły się w wejrzeniu niespodzianem, żywy rumieniec okrył twarz dziewczęcia, podczaszyc zastanowił się i coś na kształt uśmiechu gorzkiego prześliznęło mu się przez usta.

— A! dzień dobry ci Anusiu!
 — Dzień dobry!
 — Dokądże to idziesz?
 — Ja! do kościoła! Sierotom modlić się trzeba goręcej jeszcze, bo Bóg im tylko ojcem i doradcą. — To mówiąc wskazała na swoje suknie żałobne. Podczaszyc zadumał się jakoś posępnie. Łagodna Anny twarzyczka, którą krasiał wdzięk nie naśladowany nigdy prawdziwej skromności i dziewictwa w duszy, tak była dla niego teraz zjawiskiem miłym, anielskim, po wyuzdanej Julji, jak woda kryniczna po palącym napoju!

Siła wspomnień, boleść za przeszłością, skryta miłość co gdzieś żyła przytulona w serca kątku, nie dozwoliły mu minąć jej obojętnie — zastanowił się, stali oboje, milczeli.

— Pan nie jesteś chory? — spytała Anna po cichu.
 — Chory? ja? nie! — odparł znów z gorzkim swym uśmiechem pocierając czoło — alboż widzisz co na twarzy mojej?

— Zmizerniałeś pan, zbladłeś!

— Może być, jestem zmęczony — pozwolił bym cię kilka kroków przeprowadził, po dawnej znajomości.

— I owszem, na mszę wcześniej jeszcze, przejdziemy się trochę.

— Chodźmy więc — podając jej rękę, rzekł Ordyński nieco weselej — przypomnim sobie dawne nasze czasy dziecińne, kiedyśmy tak razem chodzili w Głuszy po ogrodzie.

— Nie! nie przypominajmy — odpowiedziała Anna — Głusza i wszystko cośmy tam przeżyli nie powróci już nigdy! życie dziś tak ciężkie dla mnie, gdy błysnie przy nim ta przeszłość, czarniejszem jeszcze się wyda.

Podczaszyc westchnął.

— A! prawda — rzekł — nie wróci się to nie wróci! nie wstaną z grobu ani babka, ani matka, ani nasze lata młode!

— Chciałeś pan życia, świata, spróbowałeś go, odezwała się Anna, a jednak wzdychasz, nie zapłaciło cię widzę za to coś dla niego porzucił.

— Kto wie — rzekł opamiętywając się podczaszyc — może to się tak każdej przeszłości żałuje, zobaczymy później.

— Jeżeli zobaczymy! — dodała smutno Anna.

— Cóż ty z sobą począć myślisz, Anusiu? — zapytał nagle podczaszyc.

— Nic nie myślę, nie wiem co mi Bóg zgotuje.

— Naturalnie pójdiesz teraz za męża? — uśmiechnął się patrząc jej w oczy.

— Nie wiem, nie chcę.

— Słyszałem, ktoś mi tam mówił, że ci z nieba spadły krocie, jesteś teraz bogata!

— Bogata? nie! ale Bóg łaskaw nie chciał mnie razem doświadczyć sieroctwem i nędzą.

— Z twoją twarzyczką i krociami, łatwo ci będzie teraz znaleźć męża jakiego zechcesz.

— Ja nie jestem tak łatwa w wyborze — odpowiedziała z trochę dumy Anusia — cenię swobodę, a serce... serce zewsząd objęła żaloba i wspomnienia dawne i przywiązanie dawniejsze. — Słów tych domówiła po cichu, Ordyński spojrział w jej oczy błyszczące i wyrazu pełne.

— Kobiece przywiązanie — rzekł — to pogoda jesienna.

— Jak jakiej kobiety, jak jakie przywiązanie! — urażona odezwała się Anna.

— O! każdej! o! wszystkim! — zawołał podczaszyc.

Anna zastanowiła się oburzona i gniewna.

— Boś pan jeszcze nie znał żadnej coby imienia kobiety wartą była! — odpowiedziała z uczuciem.

— Nie gniewaj się Anusiu, znałem ich wiele i dobrze!

— Im więcej tem gorzej!

Zamilkli na chwilę.

— Pozwól-że mi pan spytać się także — odezwała się Anna — co pan myślisz dalej?

— Ja! nic! nic a nic — odparł podczaszyc ruszając ramionami i spoglądając po fanfarońsku do góry — żyć póki się żyć da, a potem w łeb sobie strzelić, gdy życie się znudzi!!

Dreszcz przejął biedną Annę.

— Mój Boże — rzekł z oczyma załzawionemi — gdyby te słowa święta babka wasza usłyszała! ona co w niepokoju o pana umarła, gdyby wiedzieć mogła do czego dziś doszedł jej wychowaniec, ulubione jej dziecię! a! lepiej! lepiej! że tego nie dożyła!

Podczaszyc zdawał się mocno wzruszony.

— Czyż to się godzi spaść tak nisko — kończyła Anna — by z życia zrobić sobie igraszkę tylko... a Bóg? a przyszłość? a obowiązki?

— Stare oklepane powtarzasz mi rzeczy, kochana Anusiu, czy się tam w to pan Bóg wdaje.

— A! żal mi pana! — zawołała łamiąc ręce — spójrz pan, lzy mam w oczach. Nic-że już nie potrafi, nawet siła pocziwych wspomnień, wyrwać z tego odrętwienia, z tej dziwnej rozpacz?

— Anno! — rzekł poważnie Ordyński — gdyby to było podobne, gdyby było za co ująć się w pustem sercu mojem, tybys to może jedna potrafiła! Patrząc na ciebie, odżywa dla mnie wspomnienie młodości, które mnie rozczula i orzeźwia razem — ale nie wróci! — nie wrócić wygnanym do raj! Raz tylko w nim bywa człowiek!

To mówiąc ścisnął ją za rękę i zniknął, może się chował ze łzami. Anna zasmucona i pocieszona razem, weszła do kościoła, czując że może przypadkowe spotkanie, i tych słów kilka wywrą wpływ jaki na przyszłość — tonący brzytwy się chwyta.

Podczaszyc rozstawszy się z nią, szybko odszedł ku domowi pogrążony w myślach, chmurny, z okiem zwilżonem łzą dawno niewidzianą: przebiegł wschody machinalnie i wpadłszy do swego pokoju, rzucił się na krzesło nie zważając nawet, że w sypialni Julji hałas był ogromny, a niecierpliwa kobieta krzycząc prawie zwoływała dwór swój cały. Nareszcie sądząc że podczaszyc umyślnie może udawał głuchego, Julja wbiegła osłonięta zaledwie, bosa, z rozpuszczonymi włosami, z twarzą zapaloną i oczyma gniewnymi.

— Co to jest? — zawołała — gdzie ty był?

Podczaszyc usłyszawszy piskliwy głos jej, dopiero przypomniał sobie niewolę swoją i z przestachem spojrzął na nią.

— Czego chcesz? — spytał zimno.

— Gdzie ty byłeś!

— Na przechadzce.

— Widzieli cię żegnającego się z jakąś kobietą, z którą chodziłeś po ulicy.

— Bo istotnie z kobietą chodziłem.

— I śmiesz mi to mówić w oczy! to dawna jakaś kochanka! ale poczekaj, kiedy tak, ja ci potrafię odpłacić w dziesięcioro z mojami dawnymi przyjaciółmi!

— Ale cóż ci to w głowie Juljo! — oburzył się podczaszyc — wszakże nie zaprzeczam i nie zapieram się żem spotkał się, żem rozmawiał z kobietą, to przecie nie zdrada żadna!

— O! o! ja was znam! — zawołała Julja tupiąc nóżkami — wszyscyście wy łajdaki, ale ci przysięgam, że drugi raz wylecę sama na ulicę i takiego ci wstydu narobię, a tę gałganicę tak po pyskach wytrzępię, że mi oboje popamiętacie.

Ordyński powstał nagle groźny, z brwią zmarszczoną, drżący cały.

— Słuchaj-no Juljo — rzekł zdobywając się na flegmę, jeśli mi się poważysz raz jeszcze co podobnego powiedzieć i taką mi w domu robić burzę...

— No to co? — krzyknęła przyskakując.

— Każę cię precz lokajom wypędzić! — rzekł Ordyński i usiadł.

— Mnie! ty mnie! lokajom wypędzić! cha! cha! A co to ty myślisz? że ja ci się dam wypędzić? Wiele byś wygrał na tem, a tobym ci życie zjadła! Nie kochanku (poczekaj, odpokutujesz ty mi za tę obietnicę) mnie się nie wypędza! Chciałeś mnie, wziąłeś, nie myślę już dłużej z rąk do rąk przechodzić, dobrze mi tu i zostanę. Słyszysz, a jak cię zobaczę z tą kobietą czy z inną, jak mamę kocham, awanturę zrobię!

To mówiąc i widząc że podczaszyc uparcie zasępiony milczy, Julja cała zasapana wyszła do swego pokoju, trzasnąwszy tak drzwiami, aż się cały dom zatrzęsł.

Po tej scenie szkaradnej, Ordyński jak przykuty na krześle pozostał, a w długim dumaniu jego, Bóg wie co przez skołataną przelatywało głowę.

Około drugiej godziny wszedł na palcach cavaliere Fotofero z tą minką z głupia-franta, którą często dla podczaszycy przybierał. Wprzód on był u Julji i wiedział już o wszystkim, szedł teraz z gałązką oliwną, jako pośrednik do zgody.

— A! a! cóż ci takiego, kochany podczaszycu?

— Ha! co? mnie! kto? — budząc się zawołał Ordyński — a! to ty? mnie? nic! tak to jestem jak widzisz szczęśliwy!

Cavaliere dziwnie się skrzywił.

— Wiem! wiem! małeńka kłótnia miłośna! burza po której wam jaśniej zablyśnie pojednania pogoda. Pan sobie pozwolił jakiejś rannej wycieczki, pani wyszpiegowała niewierność.

Podczaszyc ruszył ramionami.

— Pewnie to było znów *rendez-vous* z piękną Anusią:

*Et l'on revient toujours
A ses premières amours!*

zaśpiewał fałszywie.

— Jakie *rendez-vous!* co ci w głowie! zesłiśmy się przypadkiem w ulicy, przemówiłem słów kilka.

— Ba! ba! znamy to! znamy! Anusi bardzo ładnie w żalobie — dodał cavaliere — podwójnie ładnie, bo i posażek się znalazł co jeszcze jej wdzięki podnosi! Dziś, jutro czern ta zamieni się może na białą ślubną zasłonę; ma słyszę z pół miliona po stryju i ojcu!

— Tem lepiej! wyswataj-że jej kogo!

— Ba! ba! radbym ale mi się tam nie uda, jest ktoś w serduszku co innych nie puszcza. — Uśmiechnął się. — Jak sobie przypomnę — rzekł — żeś pan ją miał w ręku i puścił dobrodusznie, śmiech mnie bierze!! Istotnie Julja się niesłusznie gniewa: pana i posądzić trudno!!

— Julja po prostu warjatka jak jej mąż!

— Ale śliczna! nieprawda?

— Na nieszczęście!

— *Venus Praxitela!* drugiej takiej nie ma w Warszawie... to cud doskonałości. Znajdź mi pan choć jedną wadę kształtów!

— Tak, gdyby serce, gdyby głowa!

— Wszystkiego razem mieć nie można — rzekł Fotofero — potrzeba wybierać!

Mówił dłużej jeszcze usiłując podczaszyca udobruchać i przywieść do zgody, na którą w drugim pokoju czekała piękna Julja, zakławszy się że ją będzie na klęczkach przeproszał. Ale układy szły oporem; Ordyński ani myślał o przeprosinach i zgodzie. Zmęczony, zrozpaczony, począł wstręt uczuwać do niej... Duma pańska, którą poruszyły miotane grubjańsko obelgi, biła mu krwią do czoła.

Poznał wkrótce Fotofero, że lepiej zostawić rzeczy naturalnemu ich biegowi, między drzwiami palców nie kładąc, sprowadził rozmowę na inny przedmiot i z sobą razem powiódł podczaszyca do Cerullego.

Julja natychmiast kazała sobie zaprzężyć karetkę i drugą stroną ruszyła do księcia Nestora w odwiedzinę, wiedząc że jej pewnie rad będzie dawny kochanek.

Wśród gry i zabawy Ordyński jakby coś przeczuwał, ciągle był niespokojny, na myśl przychodziła Julja i jej pogroźki, gniew poczynał nim miotać; nareszcie nie wytrzymał długo, wstawszy od stolika, wysłiznął się niepostrzeżony i pojechał do domu.

Julji nie było.

— Dokąd pani pojechała? — zapytał.

— Tak pojechała.

— Ale dokąd?

— Nie wiemy! — odpowiedzieli słudzy.

A był tam między nimi jeden stary co kawę gotował przedziwnie, i dla tego aż z Głuszy go sprowadzono, imieniem Maciej, niemogący cierpieć kozła (tak nazywał Julją); ten wzięwszy na fantazję i odwagę rzekł głośno:

— Co to gadać, nie wiem! ot, kazała się wieźć do księcia Nestora.

Ordyński zaciął zęby, siadł w fiakra i poleciał za wskazaniem. Miotał nim gniew najokropniejszy, tak że gdy przed pałacem przybyli, nie doczekawszy się by fiakr stanął, wyskoczył z niego i wpadł na wschody piorunem, a znając rozporządzenie mieszkania wprost wleciał do gotowalnianego gabinetu księcia, i przezeń do sypialni, nim go ludzie postrzegli i wstrzymać potrafil.

Książę siedział w szlafroku bogatym oparty na kanapie, piękną Julję trzymał na kolanach, a twarze ich przychylone ku sobie, uśmiechały się lubieżnie. Na widok Ordyńskiego, Julja klasnęła tylko w ręce i poczęła się śmiać.

— A co? — zawołała — widzisz jak ja długi płacę!

— Widzę — rzekł zimno podczaszyc, a postrzegłszy że książę Nestor trochę się zmięszał, dodał:

— Proszę niech mi W. ks. Mość wierzy, że za złe bynajmniej nie mam tego powrotu ku dawnym uczuciom jego dla JMp. Kozłowskiej. Pozwolisz mi tylko książę prosić się.

— O co?

— Ażeby ta pani pozostała tu gdzie jej zapewne milej będzie i lepiej, a nie wracała już do mnie. Odeszł tu natychmiast wszystko co do niej należy.

Nim mu się zebrano odpowiedzieć, Ordyński skłonił się i wyszedł szybko, ale na wschodach dopędziła go Julja.

— Słuchajno! — krzyknęła — co ty sobie żartujesz? ja zaraz do ciebie jadę! to być nie może!

Podczaszyc się ani odezwał, biegł dalej, słysząc że książę Nestor dobrze drzwi od siebie rygluje.

Krzyzczała i groziła piękna Julja, ale wyprzedzając ją Ordyński siadł do swej karety którą była przyjechała i popędził do domu, surowe tu wydawszy rozkazy, ażeby nie śmiano wpuszczać Julji. Pozamykawszy potem pokoje, klucze oddał Maciejowi, a sam nie czekając przybycia jej, uciekł co najprędzej na powrót do Cerullego.

Cavaliere, który tam siedząc w kątku nie dopatrywał jakoś wyjazdu i powrót dopiero zobaczył, złapał go niespokojny, zaraz w progu poznał po twarzy że coś ważnego stać się musiało.

— Coś ty zrobił? gdzie byłeś?

— U siebie!

— A Julja?

— Julja jeździła na podwieczorek do księcia Nestora, zastałem ją tam w czulej pozycji z dawnym wielbicielem i zostawiłem ich oboje razem. Nie chcę rozrywać tej pary gołąbków, oddałem mu ją bez pretensji.

Włoch mocno się zasępił.

— Głupstwo pan zrobił! — rzekł.

— To być może, ale nie pierwsze! — odpowiedział podczaszyc.

— Ta kobieta w zemście niepohamowana

— Więcej mi jak teraz nie dokucz! — zawołał Ordyński, i zasiadł do gry.

Od niejakiego czasu gra dla niego była rozrywką której się oddawał coraz namiętniej. Za stolikiem zapominał widać bólu serca, żalów za straconem życiem, wszystkiego co mu dolegało. Gwałtowne wzruszenia przegranej i wygranej, odejmowały mu uczucie terazniejszości, pożerające go w chwilach spoczynku. I jak pijak nałogowy co z każdym dniem powiększa ilość napoju i jego siłę, Ordyński coraz zasiadywał dłużej u zielonego stołu, nareszcie ledwie już od niego wstawał. U pana de Cerulli gra była ustawiczna, przychodzili jedni, odsuwali się drudzy, czasem się który znużony kilkudniową bezsennością przedzierał na kanapie, okiennice były zawsze zamknięte, świece zapalone, noc ciągnęła. Mieniali się bankier, krupjerowie, poniterujący, stół nigdy nie próżnował.

De Cerulli sam rzadko tu zasiadał, najczęściej przechadzał się, rozmawiał, przybliżał tylko, radził i kierował zdaleka ogółem ruchów tej wojny. A bój to był nie lada o co, bo na stole rzadko mniej dziesięciu tysięcy czerwonych złotych leżało, niektórych wieczorów widywano po trzydzieści i czterdzieści. Podczaszyc grał z różnym szczęściem, zawsze najnierozważniej i jak wszyscy ludzie namiętni, gdy przegrywał, stawiał sumy ogromne, wygrywając brakło mu odwagi do szczęścia.

De Cerulli był już wierzycielem Ordyńskiego w znacznej bardzo sumie pochodzącej z gry i często powtarzanych pożyczek, ale dotąd ze szczególną grzecznością akomodując się przyjacielowi, dla którego wielką okazywał estymę, nigdy nie był natrętnym, kredytował bez granic, dobywał worka na zawołanie.

Dnia tego podczaszyc siadł do gry z gorączką którą go świeże nabawiły wypadki, oczy mu się iskrzyły, dygotały ręce, karty wylatywały z palców, złoto rozsypywał z sakiewki, tak że najobojętniejsze oko dostrzedz mogło jak był nieprzytomny.

W chwili, gdy do kart powtórnie zasiadł, cavaliere mrugnął na gospodarza i uprowadził go w kąt sali.

— Słuchaj no — rzekł, zdaje mi się że pora przyszła dobić podczaszycy, żeby się darmo nie męczył.

De Cerulli uśmiechnął się obojętnie.

— Wiele ci winien?

— Mnie, około dziesięciu tysięcy.

— Na Głuszy, szybko począł Fotofero — jak to wiem przez Lebedzińskiego, jest już długów starych i nowych przeszło trzydzieści, w mieście znajdzie się dziesięć, to uczyni, jeśli się nie mylę, około pięćdziesięciu.

Głusza warta z attynencjami znacznie więcej... on dziś gotów ci grać do koszuli, widzę to przez skórę. Puść się z nim tylko, podforsuj, podpał, a rękę że go zgrasz do nitki; zrobimy z nim potem co zechcemy, a przydać się nam może.

— Ba! niewiele! — rzekł Cerulli.

— Mylisz się, szybko dorzucił cavaliere, jest imię, jest jeszcze młodość, jest znajomość świata; nędzą i nałogiem próżniactwa wodzić go będziemy na pasku, i cudzemi rękami żar rozgrzebywać! Ale wprzód potrzeba żeby grosza przy duszy nie miał! Wiem, że zechce sobie w początku w łeb wypalić, ale ja będę miał oko i nie dam mu dopuścić się ostateczności. To słaby dzieciuch!

— A zatem myślisz że dziś pora? — spytał zadumany de Cerulli.

— Dziś lub nigdy; każ podać wina, sam podpał grę, sam ciągnij, ty to potrafisz lepiej. Patrz tylko, cały drży, byle sto dukatów przegrał, pójdzie dalej jak po nitce.

To rzekłszy Fotofero uskokzył w bok, zakaszłał, poszedł do zwierciadła, zakręcił się na sali i kołując zbliżył do krzesła podczaszyc, na którego poręczy poufale się oparł.

— Kochany panie, szepnął cicho, dałbyś dziś grze pokój, jesteś cały sfermentowany! karta ci nie pójdzie, na to potrzeba krwi zimnej.

Ordyński odwrócił się z przymuszonym uśmiechem.

— A cóż będę robił? spytał — to mnie jedno odurza, rozrywa, bawi!

— Przynajmniej graj ostrożnie!

Naprzeciw zjawił się de Cerulli z założonymi rękoma patrząc na bank.

— A! a! coś mi się dziś chce samemu dla rozmaitości pociągnąć! za pozwoleniem, ja bankieruję!

Wziął talię z rąk swego pomocnika, stanął zakasawszy rękawy i w milczeniu poczęło się ciągnięcie. Podczaszyc od razu postawił grubo, a pierwsze trzy jego stawki nielitościwie grabki do banku ściągnęły... Za czwartą podwoił stawkę i przegrał znowu.

— Ej ostrożnie podczaszycu, szepnął Fotofero — bo przeczuwam żeś się jeszcze zgrać gotów!

Na to nie było słowa odpowiedzi.

— Pożycz mi pieniędzy! odezwał się po chwili.

— Ja grosza nie mam — rzekł cavaliere, i nie dałbym gdybym miał, ale ten łotr de Cerulli gotów ci kredytować wiele zechcesz.

Podczaszyc przechylił się ku bankierowi.

— Możesz mi kredytować? spytał.

— Wiele ci się podoba, kłaniając się odpowiedział bankier, z obu stron pochwycili kredkę.

Ordyński pięćset czerwonych złotych postawił na kartę.

W sali poczynało wielkie rozciągać się milczenie, gracze mniejsi zajęci znaczną stawką lub wstrzymywali drobne, lub całą na Ordyńskiego zwracali uwagę. Cerulli jakby chciał umyślnie zniecierpliwic ciągnął powoli, ale tak powoli że zdawał się katować umyślnie, rozdrażniać do ostatka, przykrywał przegrywające, osłaniał naprzód wygrane, podwajał nadzieje i strachy. Na ten raz padło plije, podczaszyc się począł odrabiać i domazał do stawki.

— Zmiłuj się! zmiłuj! pomiarkuj, szepnął cavaliere, pomiarkuj twój zapęd, zgrasz się! zgrasz!

Ale Ordyński ani słuchał już przestrogi! Szał gry najstraszniejszy ze wszystkich szalów, jakiemu podobny tylko wyrabia owa gorączka złota kalifornijska, którą dopiero w naszym wieku przyszło poznać na wstyd ludzkości — szal najszałeniwszy opętał go zupełnie. Podniecony do najwyższego stopnia, z gorejącymi policzki, z okiem prawie wyskakującym z głowy, z czołem potem oblanem, leżał na stole przechylony i dyszał straszliwie.

Widok to był okropny spodłonego człowieka, pijanego namiętnością brudną, nieprzytomnego zupełnie, nieczującego nic prócz gwałtownie do złota bijącego serca, którego ucho nie usłyszałoby może trąby Archanioła... Takim był w tej chwili Ordyński.

Trzeba mu było choć raz dać wygrać — wygrał, zaśmiały się oczy i stawkę powiększył jeszcze. Drudzy gracze poczęli go naśladować i palić się, ale to była jedna i jedyna dana mu karta. Od pięciuset idąc stopniowo do tysiąca i dalej powiększając za każdą razą stawki, podczaszyc ani się obejrzał jak przeszedł dziesięć tysięcy czerwonych złotych.

— Panie podczaszycu, szepnął cavaliere, zlituj się, bastuj, zrujnujesz się.

— A co komu do tego! odparł Ordyński głosem chrypliwym.

— Grasz pan dalej? zapytał bankier.

— Gram, jeśli mam kredyt.

Cerulli głowę tylko skłonił.

— Pan mi trzymasz?
 — Do ostatka, póki zechcesz!
 — A więc do ostatka, śmiejąc się głośno i chwytając szklankę pełną, którą duszkiem wypróżnił, zawołał podczaszyc — do ostatka!!
 — Trzymasz pan dziesięć tysięcy dukatów?
 — Na Boga! co robisz! zakrzyczał jenerał, oszalałeś!
 — Oszaleję dopiero gdy przegram — rzekł sucho podczaszyc — no — bankierze!
 — Nie trzymaj! zawołali inni, nie trzymaj!
 — Słowo się rzekło, szepnął de Cerulli, słowo święte, trzymać muszę.
 Podczaszyc wysunął kartę zakrytą, ale na ten raz nie długo się męczył, bo w pierwszym pociągu soniko ubitą została — zbladł, zadrżał, ale zaśmiał się Ordyński.
 — Ha! — rzekł, jeszcze raz odrabiam się!
 — Pan giniesz!
 — Ginę czy nie, oszalałem! mówcie co chcecie a dajcie mi pokój — konwulsyjnie złamał kartę i rzucił ją w pół stolika — *Mazo*, dodał, stawiam wszystkie *mobilieria* moje w pięciu tysiącach, przyjmujesz pan? I Julję jeszcze darmo, przyjmujesz?
 — *Mobilieria*, chętnie — za Julję dziękuję — rzekł bankier kłaniając się, *je sors d'en prendre!*
 — Ale czy ci wystarczy fortuny? spytał po cichu cavaliere.
 — Nie bój się, pierwszy może raz w życiu rachuję, odparł podczaszyc, nie straci ani grosza! wczoraj mi Lebedziński przysłał bilans, dokładnie wiem co mam.
 Gracze wstrzymali się wszyscy — tak ogromna stawka nie trafiła się już od wieczorów księcia podskarbiego. Cerulli trochę pobladł, usta zaciął, pomyślał chwilę z rąk niespuszczając kart.
 — Panowie — rzekł do towarzystwa, odwracając uwagę od talji, którą cisnął w palcach, jakby z niej tajemnicę przyszłości chciał wydusić — biorę ich za świadków że grać jestem zmuszony, żem do gry nie pobudzał, że ciągnę ze strachem i żalem... pragnę by pan podczaszyc odegrał i dla tego dotrzymuję mu placu.
 — Bez perory, bom nie małe dziecko, zawołał gniewnie Ordyński, ciągnij, utnij mi łeb i basta. To mówiąc wstał, sparł się dwoma rękami na krawędzi stołu, oczy wlepił w karty, a na twarzy zbladłej znać było jakby walkę życia ze śmiercią. Drgały w nim wszystkie nerwy, żyłki i ścięgna tak straszliwie, jak gdyby samo życie podpadło jakiemuś wstrząśnieniu co je zakończyć miało, mrugały nieposłuszne woli powieki i wargi, włos najeżył się na czole.
 De Cerulli zaprotestowawszy, pozostał całkiem spokojny, otarł trochę potu z czoła, wygodniej ujął karty, ręce wyciągnął z rękawów, i z wielką przesadą ruchów ciągnąć począł. Chwila to była ciszy uroczystej, a głosy nocy pierwszy raz może dały się słyszeć w sali, której ściany przywykły były do jednostajnych wykrzyków graczy.
 Włoch przesunął karty powolnie, uważnie, zimno. A że to było jeszcze u początku talji, i assy jakby umyślnie zbiły się wszystkie ku jej końcowi, długo bardzo czekać musiał zdrętwiały podczaszyc, na rozstrzygnięcie swego losu. Zdawało mu się, po chwili, jakby skołowaciał, zastygł, stał się posągiem, tak nieruchomy trzymał się w jednej postawie zwieszony na rękach.
 Karta mignęła — przegrana, wszyscy spojrzeli na niego, on jeszcze stał i niedojrzawszy jej oczekiwał... Oślepił był z wpatżenia się, nie widział nic, nikt też nie rzekł słowa, przegrał as drugi, podobnie — nareszcie jakby przebudzony ruszył się, obejrzał.
 — A co? — spytał, przegrałem.
 Nikt nie odpowiedział.
 — Wszakżem przegrał?
 — Tak jest — rzekł de Cerulli — i od dawna — to mówiąc wskazał w kartach asa.
 — Musiałem bo przegrać — odparł podczaszyc obojętnie — słówko panie de Cerulli — rzekł szukając kapelusza — chodźmy do gabinetu, poslij pan po rejenta, po świadków, uregulujmy ten interes.
 — Ale cóż pilnego?
 — Nadzwyczaj mi pilno, ja chwili czasu nie mam.
 — Do jutra kochany podczaszycu.

— Nie mam jutra, kochany de Cerulli! Posyłaj pan po rejenta, bo będziesz miał kłopot.

To mówiąc siadłszy w krześle począł świstać, ale tak przeraźliwym głosem rozległa się ta piosnka w uszach przytomnych, iż niektórym włosy powstały na głowie.

De Cerulli posłuszny, wyprawił służącego do najbliższego rejenta, którego zbudzić i przywieźć choćby w kółdrze przykazał podczaszyc; a że wypadek ostatniej gry mocno wszystkich poruszył, odeszli poniterujący od stołu. Jednemu pilno było z nowiną wylecieć na miasto, drudzy potrzebowali nagadać się o niej i ułożyć tekst, jaki w kurs urzędownic jako świadkowie puścić się czuli obowiązani. Podczaszyc wciąż świstał piosnkę swoją, tak wściekle, że ją słychać było po całym domu. Błady jak trup, sparty na łokciu, patrzył w zwierciadło, marzył o czemś i sam tylko może głosu swojego nie słyszał.

Wtem wybiła dwunasta; wyjął zegarek, spojrzął, pokiwał głową.

— Mój de Cerulli — rzekł — ale ja czasu nie mam, spiesz się, wyjeżdżam zaraz, jadę daleko, przed drogą interesa pokończyć potrzeba.

Wtem zahurkotało i zaspany rejent z papierami pod pachą, wyciągniony z łóżka tak szybko że ledwie miał czas narzucić kontusz niezapięty pod szyją żółtą i pomarszczoną, stanął z pokornym ukłonem oglądając się chytrze i niedowierzająco.

Podczaszyc zerwał się, pochwycił go pod rękę i poprowadził do gabinetu.

— Mości rejencie — rzekł — siadaj a pisz żywo.

— *Currente calamo* JW. panie... z tegom jest znany...

— Spiesz pan akt sprzedaży dóbr Głuszy z przyległościami na rzecz szlachcica Neapolitańskiego czy jakiego tam, nie wiem, JWp. de Cerulli. Odstępuję mu klucze Głusza, Ordy, Przemęty, w długu...

— Sytuowane? — spytał rejent już poprawując pióro i odkorkowując kałamarzyk.

— W województwie Wołyńskim — JMCci pan de Cerulli bierze na siebie uspokojenie wierzycieli...

Rejent obejrzał się.

— Ale — rzekł.

— Nie ma żadnego ale — pisz Wacpan a żywo.

To powiedziawszy podczaszyc ręce włożył w kieszenie vesty i poświstując znów począł chodzić po sali.

— Spiesz panie rejencie.

Tymczasem siwy i szczywany pan rejent temperował wciąż pióro, któremu coraz to więcej nosa uciął, chcąc się, nim siądzie pisać, dowiedzieć od kogo co to wszystko znaczy, czy niema przymusu, czy nie pijany przedający, lub moralnie znękanym czem do tej rezygnacji tak szalenie podyktowanej. Wstał potem, ciągle pod pozorem tego pióra, które na zapas zawsze w podobnych okolicznościach miewał do zepsucia i zyskania czasu przeznaczone — chcąc się do kogo zbliżyć, a gdy się to nie udało, poszedł po wodę do atramentu, po tabakę nareszcie i wszędzie szepcząc a rozwiadując się, gdy w ostatku wyklarowała się rzecz, usiadł do aktu.

De Cerulli zbliżył się do podczaszycy.

— Kochany Ordyński — rzekł poufale i słodziuchno, chybiasz mi tym pośpiechem.

— Kochany de Cerulli, mówię ci że mi pilno.

— Ale cóż nagli?

— Djableś bo ciekawy — odparł ruszając ramionami podczaszyc — daj mi pokój, ty tego nie zrozumiesz.

— A przecie... spróbujmy no!

— Daj mi pokój proszę, kończmy i bywaj zdrow; obejmuj dom, Julję, dobra, co chcesz i baw się póki stanie ochoty.

— Pan jesteś w jakiejś rozpaczy.

— Rozpaczy? oszalałeś! nigdy weselszy nie byłem, ale kończmy. — I znów zaświstał jakąś piosenkę.

Nie było sposobu — domyślano się że coś ułożył desperackiego, generał z kilku innymi postanowili go nie odstępować, bo wszystkim samobójstwo zdawało się nieuchronne. Ordyński z pod oka spostrzegł narady i uśmiechnął się do siebie, wziął akt do czytania, podpisał, wezwał świadków i raptem jakby sobie coś przypomniał:

— Ale! panie rejencie, chcę mieć kopią aktu!

— Jutro?

— Gdzież znowu, dziś, natychmiast, nie odejdę póki mi jej nie dasz! Pisz, a zlituj się żywo bo pierwsza dochodzi.

Uszyszawszy to, wszyscy się stropili, nie pojmując po co by ten akt podczaszycowi był tak potrzebny, on tymczasem korzystając z odwrócenia uwagi i szeptów, przechodząc się niby po sali, dopadł drzwi cichaczem i umknął im z przed nosa.

XII

Była to chwila między dniem a nocą, gdy już wschód blademi brzaski powolnie rozjaśniać się zaczyna, a gwiazdy błyszczą na niebie i cisza snu ogarnia ziemię czarną. W mieście wiatr tylko przelatując ulice, chłodnawy, orzeźwiający, dziwnymi głosy po zakrętach świszcząc i hucząc, samowładny pan, bo puste i jak wymarłe zdawało się miasto. Wahaly się skrzypiąc na żelaznych zawiasach zagasłe latarnie, okna kamienic stały czarne, mury zdawały się piętrzyć olbrzymie aż niebo zasłaniały; tylko na widnokręgu ku zachodowi księżyc w ostatniej zmianie, obcięty, nieforemny, skałeczony, pomarańczowej jakiejś barwy, zniżał się rzucając mdłym światłem, które nie dawało cieniów. W powietrzu wisiały już rodzące się mgły, które słońce ku górze pociągnąć miało. Cichło chwilami, to znów posłaniec jakiś na skrzydle wichru przesunął się szybko, zamiótł ulice, zadzwonił po dachach i chorągiewkach i poniósł się gdzieś daleko, nieścigniony.

W mieście jak na wielkim cmentarzu, nic jeszcze nie rozbudzało się do życia, aż smutno było patrzeć na te czarne domów zastępy, z których żaden głos się nie dobywał. Podczaszyc przeleciał szybko kilka ulic zawracając się umyślnie w różne strony dla obalamucenia goniących, których natręctwa się obawiał. Szedł bez kapelusza, bez płaszcza, ubrany lekko, a wybiegłszy na Krakowskie, wsunął się w ciemniejszą jeszcze, pustą Bednarską uliczkę, wiodącą wprost ku Wiśle.

Tu zdyszany zwolnił kroku, założył ręce na piersi, odetchnął, i zamyślony powoli ku mostowi posuwać się począł.

Wzrok jego niekiedy bezwładnie upadał pod nogi, to znów ciekawie przebiegał ciemności, jakby w nich widma jakiegoś szukał. Szedł tak czas jakiś, gdy pas jasny wskroś przerywający uliczkę światłem z małego padającego okienka, zatrzymał go jak mur nieprzebyty. Podczaszyc szedł z myślą odebrania sobie życia, a dziwnym fenomenem czepiał się teraz wszystkich jego zjawisk, silniej niż kiedykolwiek. On, co nigdy na świat otaczający bacznego nie zwrócił oka, zajmował się wszystkim, czuł że go wszystko obchodzić powinno. Śledził jak ludzie żyć i wyżyć mogli, gdy on znękany i obojętny, szedł dobrowolnie rzucić się w wodę i ginąć — byleby dłużej ciężaru nad siłę nie dźwigać.

Ten jasny pas światła oczy jego zwrócił ku oknu i domostwu, z którego wychodził. Oświecone okienko było na dole, skazany na śmierć mimowolnie zbliżył się ku niemu z uśmiechem jakiegoś politowania.

— Co tam goreje? — mówił do siebie — czy blask od kołyski nowonarodzonego co na świat oczy otwiera, czy świece katafalku? pierwsza czy ostatnia boleści godzina? Światło to pracy czy rozpusty? O, czasu dosyć jest do dnia, nie pilno mi, poczeka woda Wiślana, zobaczymy!

I z założonemi rękoma, jak złodziej skradający się, zbliżył powoli do zakraconego okienka. Było ono wysokie a dość wąskie, okrągło zasklepięne u góry, jak zwykle po starych domach, i nie zaparte okiennicą. Strzegła go tylko krata gruba żelazna dziwacznie ozdobna zgięciami. Przez szyby świeże i powiększone ujrzał zdumiony podczaszyc znany pokoik Anusin. — Serce wstrzęsło mu się gwałtownie. Los jakby naumyślnie tą strugą światła przedzielił go od śmierci, wskazując na progę nowego życia wspomnienie pocziwszej młodości.

Przy piecu, u którego rozpalonych drzazg łuczywa grzało się kilka garnuszków, siedziała Anusia z ulubioną sobie kądzialką, której nigdy porzucić nie chciała, bo ją starościna pierwsza prząć nauczyła, sama niekiedy po staroświecku kołowrotkiem się zabawiając.

Anna z towarzyszką swoją śpiewały cichym głosem Godzinki.

Śpiew ten przez szyby przedzierał się zesłabły do uszu podczaszyc a poruszał go tak głęboko, tak silnie, jak nigdy żadna arja opery; przypominał mu dzieciństwo jego, babkę, jej ranne modlitwy, i Anusię i Gluszę! Ale z zaschłej źrenicy jeszcze łza nie pociekła; tylko

przykuty do ściany stał tak, milczał, patrzył, patrzył aż mu się zdało że się przeniósł w czasy młode, że klęczał u nóg staruszki, a ta go błogosławiła do ciężkiego życia.

— Szkoda! — rzekł w duchu — twego błogosławieństwa na tak skalaną głowę jak moja!

Jam wszystko zmarnował coście mi dali na drogę, wszystko, i błogosławieństwo twoje i cnoty w duszę wszczepione, co czasu nie miały wzrosnąć! Splugawili mnie ludzie dotknięciem, słowem, wejrzeniem, tchnieniem, kobiety uściskami, widok świata niewiarą... Nic nie żądam, nic nie mogę chyba umrzeć — i umrzeć!

Chciał odejść, ale oczów nie mógł oderwać od tego ostatniego w życiu obrazu, który go wstrzymał w przechodzie ku śmierci, i przez szyby przyglądał się bladej twarzyczce Anny, smutnej ale spokojnej. W tejsze chwili uczuł na piersi gorące dotknięcie jej pierścionka, wiszącego razem z krzyżykiem babki. Zdjął go był z palca znowu.

— Brudna to pierś na której leżycie — rzekł z boleścią — ale was nie zwala, boście czyste jak złoto — nie rzucę ostatnich pamiątek, niech toną razem ze mną.

— Anno! Anno! — zawołał po cichu odrywając się od okienka — ty nie wiesz i nigdy wiedzieć nie będziesz jakem cię kochał...

Ale to była miłość, której się wstydzilem jak wszystkiego świętego com wyniósł z młodości... żegnaj cię modlącą się, wzrokiem tylko... inaczej pożegnać nie mogę! bądź zdrowa Anno! bądź zdrowa!

Gwałtem się oderwał od okna które go ku sobie ciągnęło, a szybszym niż wprzód krokiem idąc, spuścił się ku Wiśle. Niżej, już coraz zimniejsze wiało powietrze; roztoczyło się przed oczyma jego szerokie niebo, po którym różowe płynęły obłoki, i Wisła odbijająca w sobie barwy poranku, tocząca się jasno i spokojnie gdzieś ku morzom jak człowiek ku wieczności. Most jak długi zdawał się pusty, gdzieś tylko w mroku skrzypiały koła jadących zdaleka wozów.

Ordyński spojrział długo na ten obraz i pospieszył, ranek się zbliżał, a z nim ludzie, tłum, gwar, świadkowie — w ciszy i ciemności trzeba było odegrać ostatni akt dramatu. W początku myślał pójść brzegiem, ale obawiał się by woda nie była za płytką, a on w niej nie był zmuszony brodzić szukając głębiny. Że nikogo jeszcze nie widać było na moście, postanowił dójść do środka jego i ztamtąd się dopiero rzucić. Pospiesznie więc szedł na most i zbliżał się już do miejsca, które sobie w myśli oznaczył, gdy nagle usłyszał za sobą dzwonek, ale tak blisko, że ledwie miał czasu ustąpić nieco, właśnie gdy na poręczu sparty podnosił się by skoczyć w wodę.

A razem głos dobrze mu znany zawołał:

— Człowiecze szalony! co robisz!

O. Spirydjon zakapturzony, w płaszczu, niosący na piersi ostatni pokarm konającemu, ukazał się niespodzianie oczom jego.

Zawstydzony Ordyński, nie miał siły oczu podnieść, ale go poznał starzec i zastanowił się.

Długo przyglądał mu się w milczeniu bóleści, oburzenia i rozrzewnienia razem, aż nareszcie wybuchnął:

— Tak! tak! zawołał, jakie życie koniec taki! patrz do czegoś doszedł, do najszkodniejszej zguby. Sam siebie własnem sumieniem osądziłeś godnym śmierci, sam sobie chciałeś być katem! Ale Bóg ręką bezsilnego starca cię ratuje... czy nie widzisz w tem spotkaniu zrządzenie opatrności??

Ordyński złamany uczuciami których doznał, dotknięty widokiem kapłana, pierwszy raz od śmierci matki padł na kolana i lzy strumieniem polały mu się z oczów.

— Będziesz żył — rzekł starzec, ale nie dawnem swem życiem, co cię tu przywiodło, nowem, odrodzonym, lepszym — Bóg sam chce tego!

— Żyć, zawołał Ordyński — o! nie mogę już ojczy, nie powinienem; cięży na moich piersiach błoto przeszłości, grzechy i spodlenie — nie mam już tchu na życie, nie czuję sił w sobie, pozwól mi umrzeć!

— Nie, powtórzył kapłan silnie ujmując go za rękę, pójdiesz ze mną do łoża konającego, przypatrzysz się śmierci w całej jej okropności, a stanąwszy u progu, powrócisz do nowego żywota.

To mówiąc, ojciec Spirydjon pociągnął go za sobą, w milczeniu przeszli na Pragę, a tu po nad Wisłą uliczką wąską udali się do małego dworku drwała — w okienku świeciło im się z daleka.

Cicho było do koła, cicho w wąskiej sionce, gdzie księdza spotkał stary już szpakowaty mężczyzna, klękając przed Zbawicielem którego wnosił do domu.

— Mój ojczy — rzekł całując jego rękę, darujcie mi zem was z tak daleka i pod tę porę wezwał, ale to bieda mnie się uczepiła! Dni kilka temu włóczyło się tu jakieś biedaczysko, czy opętany czy z zawróconą głową, nie wiem; jakoś mię litość wzięła, zem mu dał przytulisko, a tu mu się jak na raz i na śmierć zebrało. Jeszcze by to nic, ale to jakiś nieszczęśliwy co tak ciężko kona, a takie wygaduje rzeczy że włosy na głowie powstają. Strach mnie wziął żeby pod moim dachem bez Pana Boga nie skończył, a tu inny ksiądz jak wy, rady mu nie da!

To mówiąc drwał otworzył drzwi alkierzyka i z izdebki przedstawił się im widok straszliwy i przejmujący.

Na garści słomy w kącie, przy świetle kaganka dogorywającego na półce, leżał człowiek nie stary, ale okropnie wyniszczony. Głowa jego była całkiem z włosów obnażona, twarz także z nich opadła, policzki miał strasznie wychudłe, usta sine i spienione, oczy obłąkane i dzikie. Podczaszyc poznał w nim szalonego męża pięknej Julji.

Na widok księdza porwał się ten kościotrup żółty, zdawał mozolnie zgromadzać myśli, wlepił w niego oczy szklanne, usta otworzył bezzębne, piersi uderzył pięścią ściśnioną i poczęte przekleństwo skończyło na wargach.

— Niech będzie pochwalony! — rzekł poważnie kapłan — przestępując próg izby.

Kozłowski popatrzał i nic nie odpowiedział.

— Ksiądz! ksiądz! począł szeptać po cichu, to może pocziwy człowiek, zresztą wszyscy szelmy, a najgorsi panowie... ale ksiądz toby powinien być pocziwy?? he??

Podczaszyc na widok tego obłąkania, męczarni i przekleństwa na ustach konającego, uczył krew ścinającą się w żyłach, bo część ich spadała na niego, bo i on należał do liczby ludzi co temu nieszczęśliwemu skarb jego wydarli i zbezczeszili.

O. Spirydjon popatrzał, począł się nad nim modlić, nareszcie przeżegnał obłąkanego, a siłą krzyża tego jakby cudem uspokoił się nieszczęśliwy, głowę pochylił na piersi, oczy przymknął, zdawało mu się że na chwilę usnął i przebudził zaraz oprzytomniony; oczy jego jaśniej teraz patrzyły, wzrok chodził rozważnie po przybyłych, ukląkł, złożył ręce, począł płakać rzewnie i modlić się.

Łzy jakby długo wstrzymywane puściły się teraz z otwartych źrenic strumieniem wezbranym.

Podczaszyc świadek tego cudu dokonanego modlitwą, uczył świętość człowieka co umiał go uprosić u Boga, i cofnął się z uszanowaniem, bo ujrzał oczyma swemi to, w co nie wierzył nigdy — dotknął się cudu, widocznie objawiła mu się siła Boża.

Kozłowski przestał być obłąkanym, był nieszczęśliwym tylko, który po długim śnie szaleństwa budzi się z całą pamięcią przeszłości.

Przyszedł do nóg kapłana o spowiedź i przebaczenie grzechów go prosząc.

Ustąpili więc wszyscy, a z nimi i przejęty podczaszyc, drzwi alkierza się przymknęły, a uratowany od śmierci zasiadł zaproszony przez drwała w ubogiej jego chacie. Uderzył go teraz i widok życia ubogich, bo on także na nowo miał rozpocząć żywot pracy i niedostatku, począł się rozglądać po czystej izdebce w której znać było ład, spokój i jednostajny bieg godzin w pocie czoła zarobionym podsycanych chlebem. Proste ławy, stół sosnowy, obrazy świętych po ścianach, kolebka dziecięcia, łoże starej matki, warsztat tkacki, narzędzia drwała, ustawione były z pewnem uczuciem porządku i wdzięku. A wśród nich tu i owdzie religijne wspomnienia, serdeczne pamiątki, wpięły palmę błogosławieństwa, wianuszek święcony i zwiędłą wiązanek ślubną. Na wydatnem miejscu wisiał krzyż czarny, na ścianach białą kredą wypisane niezgrabnie, świeciły się poważne daty urodzin i śmierci.

Wszystkiem razem była ta izba uboga: sypialnią, warsztatem, jadalnią i gościnną komnatą, a jednak wystarczała na wszystko. Przez wielkie ubóstwo nie mniejsze przeglądało szczęście.

— Żyj! myślał Ordyński, żyją, śpiewają, są szczęśliwi i jeszcze umieją drugim świadczyć i wspomagać!

Pierwszy to raz ta myśl że żyć można ubogim, przeszła mu przez głowę, zastanowił się, westchnął i choć długie próżnowanie wstrętem go nabawiało do pracy i umartwień, znużenie kazało mu szukać nowych uczuć chociażby połączonych z cierpieniem. Osłabłem, zemglonem okiem poglądał na ściany izby, rozświecone migotliwym lampy światelkiem i tak dumając spoczywał na ławie, póki ks. Spirydjon znów drzwi alkierza nie kazał otworzyć. Na dźwięk dzwonka zwiastujący że Chrystus jednemu z ludzi się udziela, pobiegli wszyscy pokłęknać w sieni, poszedł i Ordyński. Kozłowski klęczał na słomie, zupełnie uspokojony i przygotowany do podróży ze świata.

— Dziecię moje — rzekł do niego zbliżając się po zwykłej modlitwie kapłan, rozgrzeszenie ci dałem, ale pamiętaj że trzeba z serca głębi, szczerze i na zawsze wszystko i wszystkim przebaczyć, jak Chrystus tym co go męczyli.

— I jej? — odezwał się po cichu Kozłowski.

— I jemu! — dodał ksiądz — i wszystkim! Na Boga złóż karę... bo oto dziś właśnie, w chwili może gdyś ty konający przebaczył, osądził go świat i poniżył w proch i hańbę rzucając na wieki! Przebac mu!

— Niech mu tak Bóg przebaczy jak ja mu daruję — rzekł słabo Kozłowski — tak! wszystko, nędzę, poniewierkę! nieszczęście moje! i spodlenie jej nawet! — To mówiąc zapłakał.

Spełnił się obrzęd ostatni, tak uroczysty i przenikający, obrzęd pożegnania ze światem, wyboru w drogę wieczności. Kozłowski pochylił się znużony, zamknął oczy, przytulił się do ściany i zaraz usypiać począł.

— Wyjdźmy! — rzekł ks. Spirydjon.

U drwala pożyczył zakonnik opończy i czapki dla podczaszyca, który że już poczynało się rozwidniać, w stroju swym do miasta niezwracając oczu powracać nie mógł. Ruszyli oba przez most ku Warszawie.

Szarzeń już dobrze poczynało, wschód co raz jaśniejsze oblewały blaski, mgła jeszcze klębiła się nad rzeką, a poranek przenikającym wiał chłodem. Na drodze zaledwie wozy na targ idące i wieśniacy okoliczni ruszać się poczynali — część jej stała pustką jeszcze. W dali tylko dziwny jakiś szereg powozów jeden za drugim powolnie idących, otoczonych wojskiem, którego kupka poprzedała i zamykała pochód — posuwał się od strony miasta. Podczaszyc pierwszy rozpoznał kilkadziesiąt karet posepnie jakby za pogrzebem postępujących, z których żadem głos, żaden objaw życia się nie dobywał. Było coś dziwnie uderzającego w tej rannej kalwakacie wojska i powozów, w głuchem, posepnem milczeniu wyslizgujących się z Warszawy; a ponure, gniewne, blade lub szaleem dzikim ożywione twarze, które z za szkieł karecianych migały oprawione w fryzury, i nie dając się poznać znikwały — nosiły na sobie piętna żaloby, gniewu, upokorzenia i złości.

— Patrz — odezwał się stając kapucyn — oto idzie sprawiedliwość Boża!... późna, ale niechybna, karząca jednych by ustraszyla drugich. Widzisz tę postać bladą, na której takie cierpienie, taka szatańska duma i zemsty pragnienie widzieć się dają zarazem... to sprawca nędzy i śmierci tego nieszczęśliwego, który wszystkim konając i jemu nawet przebaczyć potrafił. Wczoraj dekret sejmowy, dekret podpisany ręką przyjaciół, od czci i wiary go odsądził. To jeden z pierwszych państwa dygnitarzy, co dał przykład zepsucia i szkarady, zmuszony wśród nocy uciekać z miasta co go radośnie przed rokiem witało... to człowiek nie więcej winien od innych w życiu publicznem, bo był tylko narzędziem, ale winien wobec społeczeństwa jako przykład wszelkiego złego i bezwstydu... Uchył głowę z pokorą przez sądem Bożym i nie patrz nań byś mu nie dodał boleści, bo kto urąga upadłym, ten sam upadku blizki...

I w ciszy przeszli, mijając ten szereg pogrzebowy stępo przejeżdżający powolnie, jakby się lękał rozbudzić szelestem ludzi od których uciekał.

Smutny to był zaprawdę widok, tem smutniejszy, że i w tej chwili nie uczuwszy spodlenia swego, wygnaniec od czci odsądzony jechał balować z przyjaciółmi jeszcze, tak jak dni następnych balował przy pełnych kielichach w Chrzanowie i Powązkach.

Podczaszyc z O. Spirydjonem wszedł do klasztoru, do tej samej celi, w której już przebył tyle dni zmęczenia, niecierpliwości, niepokoju. Właśnie w chwili gdy się za nim zamykała fôrta, ujrzał w ulicy zdala stojącego cavaliere Fotofero, który niskim ukłonem szydersko go żegnał, od śmiechu za boki się trzymając. Mignął mu on tylko i znikł z oczów.

XIII

Różne nazajutrz wieści chodziły o losie podczaszycy. Rozpowiadano z wybornemi dodatkami, jak na zabawie u de Cerulli przegrał po szalonym miljon, jak potem świstał, śpiewał, pił, wydarł się pilnującym przyjaciółom i zniknął. Domyślali się niektórzy że w wodę gdzieś rzucić się musiał, drudzy utrzymywali że się na Bielanach powiesił, inni że zaszedłszy na cmentarz Powązkowski w łeb sobie strzelił. Chciwie oczekiwano wynalezienia nieboszczyka, gdyż nikt już o śmierci nie powątpiewał, sporem był tylko rodzaj jaki obrał sobie.

De Cerulli, z mocy aktu urzędowego, zajął zaraz nazajutrz dom i ruchomości po podczaszycu i zdziwił się niepomału, gdy upartą Julję zastał śpiącą w salonie na kanapie; przebudzona, spytała go zaraz o podczaszycę.

Cerulli machnął ręką w milczeniu.

— A ty tu co robisz? — spytała.

— Ja zabieram co moje... Ordyński mi wszystko przegrał.

— A! lotr! — krzyknęła Julja — patrzcie zgubił mnie... znowu trzeba szukać innego! Ale cóż się z nim stało?

— Utopił się, powiesił, czy zastrzelił! — rzekł zimno Włoch.

— Gałgan! ale ty mnie teraz weźmiesz! musisz mnie wziąć, choć cierpieć cię nie mogę.

— Brać waćpanią, oho! nie myślę!

— Albo ja się pytać będę?

— Ze mną to nie z Ordyńskim — zawołał Włoch ruszając ramionami — dajmy sobie pokój, znamy się dosyć.

To mówiąc poszedł do dalszych pokojów nie zważając na rzucanie się gniewne kobiety, która mu pięść pokazywała.

Najwymowniejszą pogrzebową oracją Ordyńskiego były przekleństwa Julji, która wyłajawszy jeszcze Włocha, zabrała się z czem mogła i pojechała do ks. Nestora. Tu także drzwi zastała zamknięte i musiała szukać dachu, pod którym by za miły grosz spoczęła.

Dano zaraz znać sztafeta Lebedzińskiemu o losie jego pryncypała. Plenipotent pospieszył pocztą do Warszawy, pewien ze wszystkimi, że Ordyński nie żyje i nie bardzo go podobno myśląc oplakiwać. Doskonale zaraz ułożył on sobie, jak to wówczas zwano, plantę nabycia całej majątności. Miał sam trochę grosza, zastawnicy i wierzyciele jeśli niemu to fortunie czekać mogli, chodziło tylko o ugłaskanie Włocha.

Stanęli przeciw sobie dwaj godni ze wszech miar zapaśnicy: awanturnik zimny, przewrotny i grosza chciwy, ze zręcznym jurystą, oba wiedząc że się oszukać pragną i oba ufni w siły swoje.

De Cerulli miał tę wyższość nad plenipotentem, że oprócz sumy na Głuszy i prawa do niej, mógł jeszcze sypanąć w potrzebie, ale Lebedziński znał lepiej miejscowe interesa i w pokątne ufał stosunki. Cudzoziemiec dla którego od czasu przybycia tyle łatwych płynęło w Polsce korzyści, protegowany, mnóstwo w wyższej sferze mający związków, myślał nabyć dobra, indygenat zapłacić i osiedlić się tu na zawsze.

Przyznanie szlachectwa byłoby poszło najłatwiej, gdyż właśnie wówczas szlachcono po pięćset czerwonych złotych od głowy mieszczan i kupców, i sypano indygenatami jak z rękawa.

Partja przeciwna przygotowanej uchwale, która miasta i mieszczan do praw obywatelstwa przywołać miała, sądząc fałszywie że uszlachcenie tych których za głowy mieszczkańskiego ruchu miano, odejmie temu stronnictwu siłę, szafowała przywilejami. Tak otrzymali na ówczas nobilitacje i indygenaty: Tepper, Schulz, Blank, Cabre, Arendt, Kapostas i mnóstwo innych.

Mógł obok nich stanąć ze swoim tytułem i pargaminami świeżemi i pan de Cerulli.

Lebedziński widział trudności zadania, ale jak każdy przywykły zwyciężać, podbudzał się jeszcze przeszkodami, które go jątrzyły. Przyjechał, dobrze się w drodze namyśliwszy, i wszedł do Cerullego udając doskonale człowieka tak zmęczonego, zbitego, utrapionego, a tak potulnego i małuczkiego, że Włoch popatrzawszy na sławnego jurystę, kazawszy mu napróżd wina dać na orzeźwienie, był już pewien że go od razu połknie.

Jurysta dziękował, kłaniał się i ogromnie wzdychał.

— Mówmy-no o interesach — rzekł Włoch nie spuszczać go z oka i podsuwając mu akt — co pan na to?

Prawnik spojrział, przeczytał, węża podniósł, rozśmiał się jakby z radości, ręce zatarł i rzekł:

— Chwała Bogu że tak jest!

— Jakiż tam stan majątku?

— Może pan nie zechcesz wierzyć gdy mu powiem, ale spójrz pan na mnie com z Warszawy wyjechał zdrów, wesół i rzeźwy, a pomiarkujesz że to co mnie tak złamało, lada czem być nie może.

Cerulli zamilczał.

Wierzycieli chmury, bandy, ćmy, wojska! zastawnicy, procesa, chaos!! chaos! ani się z tego wypłatać! — Dzięki Bogu że się od tego uwolnię!

— A ba! — rzekł raptem wstając Włoch — grajmy w odkryte panie Lebiedziński, na co nam tu komedje. Jasna rzecz że pan mnie chcesz odstręczyć i obalamucić! Kto wie! może sam na Głuszę ostrzysz zęby? ot lepiej się nie kaleczmy, a waćpan na co innego się zachowaj i dajmy sobie ręce.

Lebiedziński który był pewien że gra komedją doskonale, osłupiał, stanął i po chwili pomiarkowawszy się, że darmo z tej beczki próbować, rozśmiał się przyznając prawie do odgadnionych intencji.

Siedli więc na kanapie w najlepszej przyjaźni, ujęli pod ręce, ale nie rzucając myśli podejścia i oszukania jeśli się uda. Lebiedziński łatwo za pewny datek odstąpił od swych planów na Głuszę, nazwawszy to porękawicznem, i z udaną obojętnością dodał:

— Teraz już najszczyściej pozwól się pan przestrzedz, (nie myślę karmić strachami) że Głusza wcale nie dla cudzoziemca nieznającego praw i form naszych! Pan jeszcze pojęcia nie masz czem u nas może być proces, w którym wmieścić się dają i patryjotyzm i nienawiść obcych przybyszów i polityka i wszystkie ingredjencje którymi go zaprawić można!

Najlepiej kupiwszy sprzedaj to pan komu, zarobić można, a sobie nabądź co spokojniejszego, tam się zagryźć najłatwiej.

Ale Włoch nie w ciemnię bity, odpowiedział obojętnie:

— Na to są adwokaci, juryści, a wreszcie i pieniądze i stosunki w trybunałach i popularność łatwo się nabywająca u szlachty! No! no! nie tak straszny djabeł jak go malują! a naprzód pańską sobie łaskawą pomoc zapewnić muszę!

Skromnie skłonił się Lebiedziński, ale skrzywił się trochę widząc złapanym, rozrachował był bowiem, że ustępując Włochowi z drogi łatwo i tanio, przekona go iż się istotnie boi nabycia i nie dba o nie, że go potem tak nastraszy tem co go czeka, iż Cerulli napraszać mu się sam będzie z majątkiem, a on go tanio pochwyti... Ale ta budowa słabo na pierwszych fundamentach wystawiona, runęła zaraz własnym ciężarem; Włoch ustraszyć się nie dawał, rozeszli się kwaśno, nieufnie, a jurysta przysiągł cyganowi, jak go nazywał, sadła zalać za skórę.

Tak gdy jeden drugiemu przeszkadzał, oba do Głuszy się nie dopuszczali, a majątek pozostał między nimi bezpański. Jurysta rzuciwszy potajemną żagiew między zastawników i wierzycieli, zagroził drogę Cerullemu, któremu przez swoich, w kancelarji nawet indygenat utrudnił.

Rzuciwszy więc Głuszę, wróćmy do podczaszycy, do którego wieczorem wszedł, wypocząć mu dawszy, z wesołem obliczem pocziwy kapucyn.

— Teraz dziecię moje — rzekł żąjąc tabaki — jesteśmy dzięki Bogu na dobrej drodze, naradzmyż się co masz czynić byś szacunek swój, świata, a co największa, łaskę Bożą odzyskał.

— Ty mi to poradź ojcz — odpowiedział podczaszyc. — Smutnie doświadczyłem że woli własnej nie umiem dać kierunku, przyznam się, że dziś nawet, chodź się tu przywieść dałem jak posłuszne dziecię, nie mam odwagi spojrzeć na przyszłość — głowa mi się zawraca. Co począć mogę? skalany, wysmiany, może okrzyczany tchórzem, bom śmierci nawet zajrzeć w oczy nie umiał... bez majątku i sam... i sierota!...

— Słuchaj — rzekł kapłan powoli — wszystko to tak ci się dziś straszem widzi, żeś miał majątek, imię, młodość, wziętość, szacunek, i — stracił. Ależ i inni zaczynają z niczego i dopracowują się pięknej przyszłości, dla czegoż i ty nie miałbyś pójść śmiało

zarabiać na nią w pocie czoła, obmyć się z brudów, krwią może i być twórcą własnego losu? Jesteś istotnie tak słabym, że cię nawet ubóstwo zastrasza?

— Ale ojcze, ubóstwo to jeszcze coś, a ja nie mam — nic! nic!

— Na początek coś ci znajdziemy, głowy o to nie łam.

— Więc pójdę... skryję się gdzieś daleko, na wsi, gdzie ludzkie nie znajdzie mnie oko i pracować będę na zagonie.

— Byłoby to bardzo dobrze — odparł kapucyn — gdyby twoja praca na zagonie przydać się na co mogła; aleś ty nie dla niej, ona nie dla ciebie. Masz w żyłach krew rycerską choć zgnuśniała, czemuż byś w takiej chwili gdy ojczyzna o ratunek woła nie poszedł do wojska? Zewsząd ciśnie się młodzież. Nie pomyślałeś o tem?

Podczaszyc mocno zawstydzony spuścił oczy.

— Łatwo by mi było — rzekł z cicha — otrzymać od króla regiment, a z czegoż go wysztyftować?

— Nie o regiment ani o rangę tu braciszku chodzi, przerwał ksiądz, niech tam paniczowie i fircyki stają na czele regimentów, to nie służba! Wejdz waćpan jak żołnierz, szlachcic wprost w szeregi, nie na żart, nie dla szlify, a popisz się gdy do czego przyjdzie! ot czego chcę i co radzę!

Ogień z jakim to wyrzekł staruszek, zagrzał przecie serce podczaszyca, który ściskając dłoń jego odezwał się:

— Uczynię tak — pojedę i będę służyć prostym żołnierzem, dopóki krwią nie obmyję brudów przeszłego życia.

— Może też Bóg — rzekł kapłan — tej ofiary krwi wymagać od ciebie nie będzie, choć! ty mnie nie pojmujesz!... nie — ale krew ma tajemniczą siłę zmywania plam z duszy. Może Bóg przyjmie twą ofiarę nie pociągając cię do niej, a tobie posłuży, o! posłuży hartowniejsze życie w obozie, pod namiotem, w niewygodach i pracy.

Jeszcze dni kilka — spoczywaj, myśl, żałuj, przygotuj się modlitwą do spowiedzi, a potem kochanku — weselej dokończył ksiądz — wyprawię cię z krzyżem świętym do generała Madalińskiego, mego starego przyjaciela! i hulaj dusza z szabelką, to dopiero zobaczysz życie!

Rozśmiał się ks. Spirydjon, wyprostował, ale tuż widać habit przypomniawszy, spuścił ogoloną głowę.

Po chwili obojętniejszej rozmowy, staruszek rozpromieniony, że duszę jedną ze szpon czarta Bóg mu wyrwać tak cudownie dozwolił, wyszedł wezwany na miasto, i późno już mimo dworku Anny przechodząc, wstąpił do niej na minutkę.

Zastał biedną we łzach, bezprzytomną prawie, klęczącą na ziemi, ktoś bowiem ze znajomych wpadł do niej z wieścią dziwnie przerobioną, o grze nieszczęśliwej i śmierci podczaszyca, o znalezieniu jego ciała i t. p.

— Co to jest? co to jest? — spytał na progu kapucyn.

— Ojcze, ty przychodzisz do mnie z pociechą, ale jej dla mnie już nie ma! on zginął!

— Kto? co? kiedy?

— Michał się utopił!

— To fałsz! — zawołał stary — nieprawda!

— Nic nie wiesz chyba ojcze! a ja ci powiedzieć nie mogę, przegrał ostatek! rozpacz go ogarnęła! a! czemuż nie przyszedł do mnie, byłabym mu choć na tę grę nieszczęsną wszystko do ostatniego oddała pierścionka! niechby żył, ja bym miała — choć nadzieję!

— Miejże nadzieję, bo on żyje! — rzekł O. Spirydjon.

Anna zdumiona spojrzała na niego niedowierzając.

— To być nie może!

— Jakto! to już i mnie nie wierzysz? upamiętaj się! Michał Ordyński w klasztorze u nas od rana.

Porwała się Anna z ziemi i cała zdyszana, śmiejąc się, wołając do Wąchorskiej, krzycząc prawie podbiegła do staruszka.

— A jakże się to stało? mów mój zbawco, niech wiem, niech slysze!

Kapucyn opowiedział jej ranną swoją pielgrzymkę, spotkanie na moście i ocalenie podczaszyca. Chciwie słuchając opowiadania, chwytając każde jego słowo, Anna milczała i modliła się. Gdy powtórzył jej wreszcie co mu podczaszyc, powracając o swem u okna Anusi zastanowieniu się opowiadał, cała wzruszona porwała się z ławy.

— A może to być! — zawołała — prawdaż to? on tu był pod oknem i żegnał mnie przed śmiercią! a serce moje ani zabiło, ani przeczulo, ani mi o nim powiedziało!

Ksiądz mówił dalej, przytaczając treść ostatniej z nim rozmowy, a Anna z wyrzutem prawie spojrziała na niego.

— Ojczy — rzekła — oddam co tylko mam, by mu przywrócić choć część tego co utracił, zostanę ubogą jakem przywykła, wesoło pocznę pracować! On niech powraca z tego przeklętego miasta do Głuszy. Nie przywykł do niewygód, do ostrego życia! to niepodobna.

— Powoli, powoli, moje dziecko — odpowiedział stary przyjaciel — źle byś zrobiła oddając mu teraz majątek, byłoby to narzędziem zguby, potrzeba by przeszedł szkołę nieszczęścia, poświęceń i pracy.

— A jeśli zginie? łamiąc ręce krzyknęła Anna.

— Nie lękaj się, nie lękaj, dziecię moje; Bóg usłucha czystych modlitw twoich, on nie zginie, niech jedzie, służy, walczy, a gdy wart będzie szczęścia i spoczynku, naówczas znajdzie oboje...

To mówiąc uśmiechnął się staruszek i błogosławiąc Annę szepnął jej na ucho:

— Waćpanna mu dasz sto czerwonych złotych na drogę, ani grosza więcej, to powinno wystarczyć.

— Tysiąc, wszystko!

— Sto — i to wiele! ani jednym więcej.

— I ja go widzieć nie będę? — spytała Anna ledwie śmiejąc po cichutku to pragnienie wymówić.

— Kto wie? serce mu zapewne powie, żeby tu zajrzał przed odjazdem, a ja się sprzeciwiać nie będę.

— A jeśli serce nie powie?

— Wszakże zatrzymał się u okna idąc na śmierć, a to światło co waszej przyświecało modlitwie wprzód go i skuteczniej może wstrzymało niż słowa moje! Kto wie? może gdyby tu nie czuł się winnym i skruszonym, tamby mi ocalić się nie dał! Miej więc waćpanna nadzieję, przyjdzie na pożegnanie pewnie, a jak powróci... jak powróci!!

To mówiąc pokiwał głową, Anna zarumieniła się, skryła twarz w rękę i ciche — nie! o! nie! z ust się jej wyrwało. Kapucyn wyszedł powoli.

XIV

W kilka lat po opisanych wypadkach, wstrząsł się kraj cały jakimś konwulsyjnym ruchem, zmieniła fizjonomia stolicy i przetrworzyli ludzie... Po czteroletnim sejmie, po reformach jego, które radykalnie uleczyć miały a rozwinąć się nawet nie mogły, po założeniu kościoła Opatrzności z obrzędem, w którego obchodach brzmiało już z niebios jakieś złowrogie prorocтво — ostatni wysiłek poruszył do dna wnętrzości całego kraju.

Warszawa przedstawiała straszliwy widok stolicy oczekującej tylko niemal przewidzianego podboju i krwawej za krew zemsty. Wśród tłumów walczących jeszcze, jeszcze powierzających się losom boju, stał król, który nic nie widział prócz upadku, i zdawał się go z zimną oczekiwać obojętnością. W ciągu tych lat kilku zestarzał się, pochylał prawie, a uśmiech już na ustach był niewidywanym gościem — one już smaku potraw bez assafetidy poczuć nie mogły, jak dusza nie czuła walących się na nią nieszczęść ogromu. Ze zwieszoną głową, jak ofiara szedł obojętny gdzie wiatry powiały, pewien że przeznaczeń, które jak Cassandra zawczasu wyśpiewał, nic przebłagać nie potrafi. Skarby sztuki które zgromadził, świat co jeszcze wdzięczny się do obłamanej jego korony, ludzie co mu pochlebiali dla ostatniej garstki złota, nic go, nic rozmarzyć nie umiało. Poddawał się wszystkim z kolei, robił co tylko chciano, potakiwał każdemu — wszyscy i wszystko mu było równem.

W kilku dniach trwogi stracił resztkę sił jakie z życia pozostały... teraz obawiał się już szelestu, drgnienia, dźwięku dzwonów, wystrzału, głośniejszej rozmowy, silniejszego uczucia, a żaden z tych co się zwali poddanymi jego, mniej nadeń, nie był panem siebie. Obumarły, dożywał resztek z obojętnością człowieka, który w nic prócz w fatalność nie wierzy.

Ryx, Baciarelli, Byszewski, wszyscy dworacy i faworyci próżno szukali sposobów dźwignienia go z tego upadku; uśmiechał się ruszając ramionami, ale na wszystko zimny był jak trup wyjęty z trumny.

Obok zamku w którym dożywał Stanisław August, miasto wrzało jeszcze trwożą i nadzieją, a stolica, okolice jej i wewnątrz militarną miały postać.

Było to w październiku, w roku tym jesień słotna i chłodna gorzej dokuczała od zimy, bruki miejskie płukał deszcz drobny a gęsty, chmury szare powlekały niebo jednolitemi płachtami swemi bez barwy i zarysów, wiatr pociągał z zachodu i smutno było jakoś na świecie. W mieście pustka, rzadki fiaker stał na placu, lub przewlekał się noga za nogą, rzadszy powóz zatętniał żywiej po bruku, a przechodniów prawie nie widać było.

W mieszkaniu prezydenta Zakrzewskiego kilka osób zebrały się na wieczór, który dla wielu z nich miał być pożegnaniem na długo, choć nikt z nich jutra nie przeczuwał.

W pięknej salce, u komina płonącego jasnym i ożywiającym ogniem, ścisnęła się tu garstka mężczyzn w fantazyjnych mundurach owej epoki, lub cywilnych strojach francuzkich. W pośród nich nie wielkiego wzrostu ale silnie zbudowany, oryginalnych rysów twarzy, nacechowanych wyrazem energii, w prostej szarej sukmance zielonemi oszytej sznurkami, stał wódz naczelny. Na pierwszy rzut oka niepozorny i nienajwygodniejszy w tej kupce arystokratyczniejszych postaci, przy wpatrzeniu się pociągał ku sobie jakimś znamieniem ludzi do wyższych powołanych losów. W oczach niespokojnych i gorących, w ustach i na czole miał piętna władzy, sławy i nieszczęścia. Dnia tego chmura jakaś zwiła nad czołem jego, usta ścisnęły się mimowolnie, patrzył w posadzkę, zamyślał i usiłując być wesół, jeszcze wyraźniej okazywał się przejętym, niespokojnym. Za ledwie dwie czy trzy przytomne tu osoby wiedziały z nim razem, że się już generał Fersen potrafił przeprowadzić przez Wisłę, a Poniński go trafem, nieopatrznością czy wolą losu fatalną przepuścił. Nikt też prawie nie wiedział, że o świecie wódz naczelny postanowił opuścić stolicę i sam stanąć na czele szczupłej garstki, do której wątpiono by się w porę potrafił przyłączyć Poniński.

Obok wodza stali, pięknych i odznaczających się rysów twarzy marszałek Potocki, Mostowski, Kochanowski, podkanclerzy Kollątaj, gospodarz domu, młody N... w wojskowym mundurze i przybyły od wojska z depeszą znany nam Ordyński, którego wszakże trudno dziś było poznać... Kilka lat pracy, zmęczyło go, uszlachetniło i odmłodziło razem, zdawało się że podrośł, spotęźniał, i skąpiany w znoju stał się nowym człowiekiem. Biała niegdyś i zmęczona twarz jego, powlokła się barwą tak dobrze zdobiącą mężczyznę, którą nadają wiatr i słońce, oczy odzyskały ogień, usta rumianość, czoło wyraz spokoju i myśli. Wojskowy ubiór przystawał mu wybornie i nikt by się dziś w nim nie domyślał hulaki, który niedawno tracił dnie i nocy w bezmyślnem i osłabiającem próżnowaniu. Znać było że w tej piersi pokrytej mundurem, inaczej teraz, żywiej a spokojniej bić musiało serce, drugą odzyskawszy młodość.

Nie wesół ale nie znużony, miał wyraz dojrzałości, męztwa i pomiarkowania połączony z wrodzoną i niezartaną dobrocią, przebijającą się w uśmiechu i wejrzeniu. Z uszanowaniem stał, patrzył i słuchał, a z roztargnionych rzutów oka na okna, widać było że serce jego uciekało gdzie indziej.

Pomimo pozornej wesołości, którą wzajemnie ducha sobie usiłowali dodać przytomni, nikt z nich w istocie wesół nie był, wszystkich uciskało jakieś niepojęte przecucie, ta woń przyszłości, która ją zawsze poprzedza. Wódz mówił o rzeczach obojętnych, ale co chwila zaczynał o sprawę publiczną, inni dodawali coś każdy do wieści ogólnych — przyniesione z ulicy wiadomości, domysły, przypuszczenia, nadzieje lub przestrachy. Nie brakło w powietrzu krążących skrzydlatych nowin, co często zgadują przyszłość tajemniczym i niepojętym sposobem. Jedni już sprzymierzonych widzieli pod Warszawą, drudzy ich wstrzymywali różnemi środkami, a oczy i nadzieje wszystkich zwracały się na siwą sukmankę, pod którą ostatnie biło serce.

Ordyński stał, słuchał i wzdychał niekiedy, na pytania tylko o wojsku mu zadawane odpowiadając krótkimi słowy. Na chwilę przed wieczorą, ks. podkanclerzy zaszedł niby przypadkiem z wodzem naczelnym do drugiego pokoju, i przez minut kilkanaście pozostał z nim na cichej rozmowie. Wyszli oba nie weseli, a tu i do stołu oznajmiono. Usiedli wszyscy do wieczery.

N... miał właśnie dnia tego na palcu etruski pierścień, wystawujący na pięknym agat-onyxie rannego żołnierza, spartego na puklerzu. Siedział on przy marszałku Potoc-

kim, który ten pierścień spostrzegłszy, prosił żeby mu się dał przypatrzeć i niezmiernie chwalić go począł.

— Weź go marszałku — rzekł N... z uśmiechem nieznacznym spoglądając na wodza i Zajączka — dla mnie dziś żołnierza, zlej to wróżby rzecz, nosić się jej boję...

— Ale mój panie, odpowiedział opierając się trochę marszałek, chyba co w zamian odemnie przyjmiesz, to dar zbyt kosztowny.

— Nic nie chcę, — rzekł brześcianin — tymczasem go zatrzymaj panie marszałku, oddasz mi jak się, da Bóg, zobaczymy. Pierścień ten z rannym żołnierzem podawany z rąk do rąk, zakończył niewesołą wieczerzę, a choć wzmianka złowroga była całkiem przypadkową, kilka czoł pochmurniało, N... westchnął.

Naprawdę Zakrzewski prosił, zatrzymywał, usiłował gości swych rozchmurzyć, wódz naczelny, z nim Zajączek, Kollataj, N... i wezwany Ordyński wyszli zaraz po wieczerzy. Ordyńskiego wieczorem przybyłego z depeszami nie puszczając od siebie, bo się młodości jego obawiał i słów które by mu się wymknąć mogły, zabrał z sobą wódz do głównej kwatery, naówczas w Mokotowie będącej, powierzając mu rozpisanie rozkazów i listów, które w nocy przygotować miano. Musiał więc, niezajrzawszy nawet do dworku Anusi, spełniając rozkaz, iść z sercem bijącym za wodzem, a nazajutrz o świcie spieszyć z nim razem na pole walki.

Noc upłynęła szybko; o piątej, nietknawszy łóżek, wszyscy już byli na koniach, wódz w siwej sukmanie na przodzie. Zajączek, który po nim obejmował dowództwo stolicy, w milczeniu posepnie odprowadził ich do mostu i okiem pożegnał uchodzących.

W ciemną noc jeszcze, nim zaświtał brzask dniowy, wśród słoty i wichru wyjącego, ruszyli wszyscy galopem po ślizkiej i rozmokłej ziemi... Ordyński raz jeszcze okiem Warszawę pożegnał.

Cały dzień zszedł na szybkiej podróży bez chwili wypoczynku. Trudno tam było rozpoznać wodza w tym małym prostym oponczym jeźdźcu, który gwałtownie zamyślony na mizernej chłopskiej szkapie, z oczyma utkwionymi gdzieś w niedojrzałą przyszłość. Co wioska potrzeba było odmieniać konie, bo żaden gwałtowny jeździec wystarczyć nie mógł, a że i siodeł i uzd brakło często, rzucano wór słomy na grzbiet szkapie, a sznurkiem pęsk przeciągnawszy — dalej! dalej! Do koła, w pluchach jesieni, w szarej, smutnej osłonie chmur i deszczu, pustką przerażającą odkrywał się kraj, przez który już przeszła wszystko niszcząca wojna. Gdzie niegdzie z dworów szlacheckich stały tylko okopcone ściany i rumowiska nieforemne, indziej posadę wioski, rząd sterczących kominów i opalonych płotów oznaczał — pogorzelsko lub pustynia... Po drogach leżały zdechłe konie i bydło na wpół przez zwierza pożarte, a gościńce kopytami stratowane, tam i owdzie rzucone potraskane lawety, świeże przejście wojsk opowiadały.

Jak zbieg przekradając się z garstką swoich towarzyszy, wódz nareszcie dobił się do nielicznego oczekującego nań wojska.

Przed nimi cicha Wisła ciche toczyła wody, na wzgórkach odrapane domostwo, poniżej wioska i drzew trocha... miejsce zwało się Maciejowice. Na widok wodza zbiegło się co żyło z naczelników oddziałów i otoczyło go radośnie. Ordyński, z smutnem jak wszyscy prawie przecuciem, przybył na stanowisko ostatnie, ale tu widok wojska, weselsze twarze dowódców i młodzieży, niedokładne wieści zmniejszające liczbę ludzi i armat generała Fersena, jemu jak innym wlały jakąś otuchę.

Maciejowicki dwór stary, murowany pałacyk na wzgórkach nad rzeką stojący, nosił także na sobie ślady przechodów wojsk i wojny; zajęto go na główną kwaterę dla naczelnego wodza i sztabu, przy którym i nasz znajdował się Ordyński. Smutny był widok tej budowli co spokojniejsze pamiętała czasy, sal które nieraz brzmieć musiały weselem po gospodarskim znoju, izb dziś ogołoconych ze wszystkiego pustych, z porozbijanymi oknami, z na pół wylamanymi drzwiami, potraskaną i popaloną podłogą, zimnych, wilgotnych, opuszczonych jak kaplica grobowa. W górnej części dworu w jednym z pokojów wisały jeszcze na ścianach wysoko portrety Maciejowskich i Zamojskich, ale ani jeden z nich całym nie pozostał, kawałami powyszarpowano z nich płótno, powystrzelowano oczy, porozcinano piersi, a to pośmiertne męczeństwo znów oczy uderzało jak jakąś wróżba złowroga. Z okien tej sali właśnie widać było obóz Fersena szeroko rozciągnięty: ognie porozpalane pod blizkim lasem, namiot naczelnika, zielone wozy artylerji i tłum

niepoliczony wojownika. Wiatr niekiedy przynosił ztamtąd osłabły odgłos bijących na capstrzyk bębnow i *bura!* żołnierzy.

Na równinie podedworem skupiła się w cichości garść ludu naczelnego wodza, złożona i ze starego wprawniejszego żołnierza i z świeżej a nieznającej ognia milicji, której większa część w kosy tylko, toporki i ladajaką broń zaopatrzona była. Zdawało się, że na pierwszych najwięcej rachować było można, a drudzy ledwie lik stanować mogli — ale któż kiedy przewidzi jutro i zgadnie człowieka?

Całą noc prawie mało zażywszy spoczynku, wszyscy chodzili po wzgórzu myśląc i rozprawiając o dniu jutrzejszym, który niechybną zapowiadał potyczkę. Jenerałowie Kniaziewicz, Sierakowski, Kamiński, brygadjer Kopeć, pułkownik Wojciechowski chmurnej twarzy i niewesołej mowy, nareszcie Ursyn dowodzący milicją brzeską, w kupki się zbivszy, rozglądali pozycją, usiłując ciemność przeciąć okiem, a przyszłość myślą niespokojną odgadnąć. Rozmowa ich cicha, nie przerywała milczenia wśród którego dochodził szmer obozowy i rżenie koni z równiny; na niebie ołowianem uparcie nad tą garścią wojowników krążyło z uprzykrzonym krakaniem stado czarnych kruków. Tym duszom pragnącym przepowiedni, zesłał Bóg zwiastunów śmierci, które odezwały się jak w starej pieśni słowiańskiej przedbojowym smutkiem.

Ordyński podniósł oczy i wskazał tę przelatującą chmurę brygadjerowi Kopciowi.

— Co to znaczy? spytał wzdychając.

— Zachciałeś waćpan, odparł Kopeć ruszając ramionami, chociaż sam splunął nie rad zjawisku — wrony na słotę kraczą; a jaki z waści tchórz!

To powiedziawszy zatarł ręce i rozśmiał się choć z przymusem.

Tchórzem jednak nie był Ordyński i nieraz już dał tego dowody w ciągu lat kilku, ale teraz doznawał tego przykrego uczucia odzierającego z nadziei, któremu człowiek całą siłą ducha oprzeć się nie umie, kiedy nań padnie z góry. Sen go nie brał, usiąść nie mógł, jakiś niepokój gnał go z miejsca na miejsce. Szczęściem zawołano go do wodza i użyto go do ekspedycji pism, które znów wysyłano do Ponińskiego — przesiedział więc nad papierem, nie myśląc w tem odrętwieniu moralnem, dla którego mechaniczne zajęcie jest dobrodziejstwem.

Dzień poczynało nareszcie po długiej nad miarę nocy, ruszyły się wojska w obozach, a od Fersena ozwały się o świcie bębny i muzyka, i kolumny wojsk jego wnet jak mrowie ruszać się poczęły, widocznie usiłując garść na wzgórzu oszańcowującą się otoczyć, rozciąć i zewsząd osaczyć. Ordyński na pierwszy odgłos trąbki odzyskał życie, zapał, nadzieję, pchnął papiery ze stołem i ochoczo rzucił się na konia, bo już stawano do boju. Przeznaczony on został wraz z kilką innymi do roznoszenia rozkazów, to jest, do jednej z najniebezpieczniejszych funkcji, gdyż zwykle rozkazy idą w stronę zagrożoną i prowadzą przez grad kul, a niosący je niemogąc walczyć, na śmierć leci bezbronny.

Nim się wojsko po krótkim spoczynku miało czas w porządnę zebrać szyki, już Fersen ruszył usiłując je objąć, i wielkimi działami swemi zdala dokuczać mu począł. Kule jego co chwila rozbijały drzewa i gruchotały budowle upadające z trzaskiem, wrywały ziemię, waliły płoty, a jedna z nich o mało nie zabiła samego wodza świsnąwszy o kilka kroków od niego i obrzuciwszy go wyoraną ziemią. Działa jego wojsk nielicznych, mniejszego kalibru, czekać musiały zbliżenia się oblegających, by się odstrzeliwać skutecznie; zawarzały nareszcie gdy przyszli na cel, i poczęły utrudniać nie mało pochód oddziału Fersena, który przez błota i trzęsawiska zarzucając je faszynami, powoli ale uparcie drogę sobie torował. Ordyński, w chwili gdy się już bój rozpoczynał w pierwszych piechoty szeregach, wysłany do jazdy pułkownika Wojciechowskiego, stojącej jeszcze i nieużytej w rezerwie, potem do piechoty brzeskiej, wciąż w ogniu, sam już rozogniony, biegał wśród rozpoczętej walki, którą co chwila sama liczba rozstrzygnąć musiała niechybnie. Na samo pierwsze wejście, potężny oddział Fersena tak dalece przewyższał garść ludu zebraną na wzgórkach u dworu i równinie pod laskiem, że tylko rozpaczliwa odwaga wątpić mogła o wygranej.

We wszystkich zapał był wielki, szedł on z piersi wodza, który nim umiał natchnąć bliższych i rozpromieniał się wkoło, ale słabł tam gdzie wpływ jego nie dochodził. Walka rozpoczęta ze stron obu wzmogła się i stała zaciętym bojem, zamięszanie wkrótce ją zakończyć miało. Niepostrzeżono na nieszczęście i nie opatrzone się aż nie rychło, że prawie skrzydło zostało odcięte i otoczone; gdy w tejsze chwili posłany po jazdę do Wojciechow-

skiego Ordyński, z rozkazem by szła do ataku, zdumiony usłyszał od niego tę obojętną odpowiedź:

— Powiedz pan naczelnikowi, że ja mój pułk odprowadzam do Warszawy, winienem ludzi moich oddać w całości królowi, który mi ich powierzył, noga by ich ztąd nie uszła.

— Panie pułkowniku — zawołał oburzony Ordyński — ale rozkaz wodza! rozkaz wodza jest wyraźny!

— Nie myślę darmo gubić ludzi — rzekł Wojciechowski ruszając ramionami — zresztą wiedz wacpan że i ja także mam rozkazy. — To mówiąc kazał zatrąbić na odwrót i natychmiast ku Warszawie cofać się począł spiesznym marszem. Ordyński nie chciał w początku wierzyć oczom ani uszom swoim, nareszcie przez grad kul pospieszył do wodza, który stał jak zdętwiały, coraz smutniejsze wiadomości odbierając od Sierakowskiego i innych dowódców.

— Wodzu! — zawołał Ordyński — pułk ułanów króla cofa się do Warszawy... inni za nim uchodzą!

— Na Boga zbierajcie panowie kogo można! płazujcie tych tchórzów! — ogieńcie krzyknął wódz naczelny — ja sam lecę w ogień, za mną! za mną! tu potrzeba zginąć ale się nie zesromocić!

W tem nadbiegł brygadjer Kopec.

— Naczelniku! — rzekł — na miłość Boga uchodź, przegraliśmy na głowę, przegrali!

— Chyba ci się w głowie przewraca! Naprzód zawołał wódz, naprzód mości panowie i jeśliśmy przegrali — to tembardziej naprzód! Gińmy za tych co ginąć nie umieli!

To mówiąc spał konia ostrogami i rzucił się zapamiętale w najgorętszy bój na prawem skrzydle, a Kopec, Drzewiecki i Ordyński poszli za nim, zagrzani myślą pocziwej śmierci lub ocalenia wodza.

Michałowi zabiło serce, cała przeszłość mignęła się różnobarwnym przed oczyma obrazem, pożegnanie zdaleka posłał Annie... Ale już i myśleć nie mógł wśród huku, zamieszania i wrzawy w której się znajdował, tnąc i siekąc na wszystkie strony; nagle uczuł ciepło rozchodzące się po piersi i rozlewające po niej, rozpiął mundur, włożył rękę i dobył ją zakrwawioną, a w tejże chwili prawie padł na ziemię wraz z koniem. Kula kozacka przeszła go z prawego boku.

Tak dla niego, z zamknięciem omglonych oczu, skończyła się Maciejowicka potrzeba, a owe przepowiednie wieszczce, pierścienia i kruków, ziściły się wszystkie. Najdzielniejsi, jeśli nie śmierć, to rany ciężkie i długą znaleźli tu niewolę, a i krukom dość było pastwy.

Gdy oczy otworzył Ordyński, ujrzał się znowu w Maciejowickim dworze, w sieni pustej, na garści słomy, a przy nim krzątało się kilku oficerów rosyjskich, pułkownik Tolstoj, Ursyn z ręką na temblaku, cały podarty i oszarpany, a krwią zeschlą okryty Drzewiecki.

— Co to jest? gdzie jesteśmy? gdzie wódz? — spytał otwierając powieki.

— Żyje! ciężko ranny! w niewoli! — szepnął Ursyn.

— Cóż się stało ze mną? gdzie ja był?

— Leżałeś na placu ranny i bez pamięci, teraz nie pora ci to tłumaczyć, daj felczerowi opatrzyć ranę, boś dużo krwi stracił.

Opowiedzieli mu potem towarzysze, jak nieprzytomny i niemal już nieżywy leżał na pobojowisku, gdy Drzewiecki z pułkownikiem Tolstoj szukając wodza wśród trupów, plac oglądając i na niego trafili; a postrzegli że żyje jeszcze, kazano go kozakom przynieść do dworu, gdzie powoli zmysły odzyskał. Rany Ordyńskiego były ciężkie, ale nie wystawiały go na niebezpieczeństwo; główną ta, którą otrzymał postrzałem w bok prawy, kula daleka może rozszarpała ciało nie nadwierzając kości po których się ośliznęła, stracił tylko krwi wiele. Cięty jeszcze czy uderzony w głowę, rozbitą miał na niej skórę i w upadku zgniecioną rękę, ale razem wzięte wszystkie te rany nie okazały się straszne.

Więźniowie wojenni dni kilka jeszcze zatrzymani zostali w Maciejowicach, z kąd Ordyński po opatrzeniu ran, wraz z innymi dostał pozwolenie zgłoszenia się do Warszawy, i choć cudzą ręką napisał do Ojca Spirydjona i do Anny, oznajmując im o losie swoim i żegnając ich, bo się spodziewał długich lat niewoli.

XV. ZAKOŃCZENIE

Minęły znowu lat kilka od opisanych wypadków. — Było to pięknego poranku jesieni, na dziedzińcu pustego dworu w Głuszy zajeżdżało kilka powozów upakowanych, z dalekiej widać przybywających podróży.

Jeśli sobie czytelnik przypomnieć zechce opis tego wspaniałego pałacu w pierwszych rozdziałach naszej powieści, a spodziewa go ujrzeć jakim był naówczas gdy króla jadącego do Kaniowa przyjmował, omyli się bardzo. Nigdzie może czas nie niszczy tak szybko jak u nas — bo mu i klimat pomaga i ludzie. Nie do poznania był pałac ów, arcydzieło smaku, dziś budowa na pozór zestarzała, z tynków odarta, z mnóstwem powybijanych okien, z drzwiami połupanymi, posztukowanymi i na nieforemne zamkniętymi skoble i kłódki.

Bruki dziedzińca i alei zarastały trawą i chwastami, wśród których pasły się swobodnie stada cieląt, świń, indyków i koni w najlepszej zgodzie, ledwie kiedy niekiedy wierzgnięciem i krzykiem przerywanej. Piękne zagrody pogniłe były i połamane, kamienne posągi pogruchotane, zzieleniały od mchów które na nich porosły. Nawet stare ucierpiały drzewa, bo je wiatr i ludzie pooblamywali, a na lipach świeciły żółte rany zadane przez chciwych lubu wieśniaków. Sterczały kaleki gałęzie Nielitościwie poodtrącane siekierą. Owa austerja, w której wojewoda z podczaszyną oczekiwali na Poniatowskiego, była już pustką bez dachu, osmaloną i czarną, a w jednym jej tylko kątku żyd pod słomianą mieścił się strzechą.

W oficynach pałacu pozajmowali sobie pokoje proszeni i nieproszeni goście, a dowodem ich osiedlenia były różne u drzwi, okien i ścian dodatki poprzywieszane i poprzybijane dosyć malowniczo ale bardzo nieporządnie. Żadna fórtka i brama nie chodziła na zawiasach, a gdzie ich całkiem brakło, kawałek z płota plecionki suwał się, jako tako zasłaniając nie pański ogród ale czyjaś grzędę na nim zdobytą. Tak dziwnie teraz i smutno wyglądała piękna Głusza.

Ale też od wyjazdu podczaszynej, od śmierci tego ducha opiekuńczego, który tu ład i dostatek trzymał w drżących rękach i błogosławił domostwu nieustanną modlitwą, nie było już nikogo coby pomyślał o jutrze, coby się potroszczył o zachowanie pracy ludzkiej i darów Bożych. Rabowali z kolei rządcy, dzierżawcy, plenipotenci, słudzy, co żyło, tak, że miejscami ze słupów parkanu cegły nabierano na piece do chat, a ogrodowem drzewem palono sobie najregularniej.

Władał tu Lebedziński na chwilę, po nim przyjechał był Cerulli do mniemanego swego dziedzictwa i przeszedł się po pustych salach marząc o swoim państwie przyszłym, ale mu jego przeciwnik taki tumult i obłączenie wierzących, zastawników, woźnych i sąsiadów z pretensjami spędził, że w tydzień jak niepyszny uciekać musiał, głowę straciwszy.

Byli później dzierżawcy, z których każdy wołał oficynę, ale pałac odzierał, bo tam nie liczone i nie spisane sprzęty, na łasce przybyszów zostające, brać się dawały bez oporu.

Brano więc co było można, co kto chciał i zażądał, aż do lepszych szyb w oknach, które gontami pozalatywano. Odarto i blachę z dachów przykrywając je słomą, i posadzki z sal, i zwierciadła ze ścian, pustkę powoli robiąc z wykwintnej siedziby pańskiej.

Po ostatniej bitwie Maciejowickiej, wzięty w niewolę Ordyński, poszedł z innymi więźniami przez Wołyń, do głębi Rosji będąc przeznaczony, ale w Zaslaviu, staraniem mnogich krewnych i poręczycieli, uwolniony został, a następnie przez O. Spirydjona i Anusię dla wyleczenia się z ran wysłany do wód zagranicznych. Już naówczas Głusza, choć o tem nie wiedział Ordyński, do Anny Sienińskiej należała. Lebedziński umarł był przed rokiem, Cerullego twarde okoliczności zmusiły wynieść się szybko z kraju; sprawę powierzono uczciwemu i zręcznemu prawnikowi, który od Włocha prawo do majątności nabył za bardzo niewielką opłatę.

Wielcy to lekarze ducha — praca, znój i nieszczęście — trudno dziś poznać było Michała, tak się na korzyść swojej odmienił.

W innym kole znalazłszy się Ordyński i innym też stać się musiał. — Uczuł że stoi na drodze której się nigdy wstydzic nie będzie, a wspomnienie jej poniesie razem z pamiętkami dzieciństwa do siwych włosów i grobu. Zahartował duszę i ciało, podniósł umysł obcowaniem z ludźmi, których każde słowo tchnęło wyższem uczuciem i surowym na

świat poglądem; pojął piękności ofiary, wielkość powołania ludzkiego, a w sercu odezwała się żyłka rycerska, którą tylko żywot pierwszy odrętwił na chwilę. Życie wojskowe poczęło dłoń mieć urok którego się w niem nie spodziewał — ta wrzawa, ten niepokój, ta niepewność jutra, boje, utarczki, długie pochody, ranki obozowe, nocne na straży, uśmiechnęły się doń wdziękiem pełnym poezji i wzniosłości. Nigdy w swem życiu pierwszym nie doznał uciech tak czystych a tak silnych, po którychby żadnego nie pozostało mętu. Z myślą o Anusi, z nadzieją jutra, szedł weselszy coraz, aż wreszcie pieśnią wojacką otwarły mu się usta — czuł się spokojnym, oczyszczonym, godniejszym jej i siebie. Czasem kilka słów od niej, błogosławieństwo ks. Spirydjona, przysłana przez nich jaka rzewna a strzelista konfederacka modlitewka, rozgrzały go i sił nowych dodały.

Nieszczęściem przez tych lat kilka, choć go los razy kilka zbliżał do stolicy, choć raz mu nawet w niej być dozwolił, nie mógł zobaczyć Anny, mijał jej okno posłuszny, by rozkazu wodza nie zdradzić. Teraz dopiero po tylu zmianach, po odrodzeniu do nowego życia, powracał wreszcie marząc, że mu już wolno będzie spocząć i być szczęśliwym. Tysiące myśli i nowych projektów snuły mu się po głowie, ale o Głuszy dumać nawet nie śmiał. Chciał gdzieś z pomocą krewnych kupić małą wioseczkę w kątku, w lasach, na ustroniu, by już na Wołyn nie wracać. Z tem jechał do Warszawy z wód, a gdy ujrzał znów siną Wisłę i wieże stolicy i zamczysko już puste, jak gniazdo orle, z którego ostatni wróbel wyleciał, i gród co tyle pożarł jego życia; zamglily mu się oczy, westchnął dotknięty swoim i innych nieszczęściem. Konie choć biegły żywo, zdawały się nielitościwie wlec po wyciągającej się na przekorę drodze.

Spojrząwszy na most, przypomniał sobie ze łzami uroczystą chwilę, gdy tu szukał śmierci po rozpuście i rozpaczy — nareszcie trąbka rozległa się na Bednarskiej ulicy, a Anna, nie wiem jakim przecuciem, wybiegła przed bramę.

Czuła że on jedzie, choć poznać go nie śmiała; skoczył ku niej Ordyński i niemem uściśnieniem ręki powitał, bo przemówić nie mógł. Drżeli oboje patrząc na siebie, szukając na swych twarzach śladów lat co im zbiegły na ciężkiej próbie oczekiwania, tęsknoty i walki. Anna była zawsze tem pięknem dziewczęciem, które podczaszyc w Głuszy pożegnał; ale na tej twarzy troska i niepokój wypiętnowały także swoje przejście, i ona zmężniała niemi, dojrzała, oblekło się łzą wejrzenie, uśmiech był smutniejszy, chmurką nawisło czoło białe. Michał dojrzał, postarzał może, ale odświeżył się bojem, i twarz krwią obmyta, znów się rumieńcem pokryła, tą jutrenką młodości.

Tak ledwie śmiejąc przemówić do siebie, weszli razem do izdebki, w której przez lat tych kilka nic się nie odmieniło. Ławy, stoliki, obrazki, wszystko to było jak wczora. Dla nieżywych czas nie płynie.

Pani Wąchorska rozplywała się we łzach ujrząwszy Ordyńskiego.

— A O. Spirydjon? — spytał Michał.

— Biedny staruszek posunął się bardzo, ale o kiju włóczy się jeszcze — odpowiedziała Anna. — W przeszłym roku, po ślizgocie idąc do chorego nogę złamał, a że staremu i trochę niecierpliwemu do pracy trudno się było dobrze wyleczyć, jeszcze mu zostały ślady tego nieszczęśliwego wypadku.

Nazajutrz, cały wieczór spędziwszy z Anną, Ordyński poszedł na ranną mszę do kapucynów. Trafił że ją właśnie O. Spirydjon odprawiał: pokłękł i wysłuchał jej nabożnie, a wspomnienia cisnące się tłumnie nie jedną łzę wywołały. Przy błogosławieństwie ostatniem poznał go widać starzec, bo mu ręka zadrzała i długo ją wyciągnioną nad głową wojaka zatrzymał.

Z zakrystji powiódł go z sobą do celi zakonnik, tak wesół i rad, że mu się od żartów usta nie zamykały. Łzy ciągle miał na powiekach, a wesołość na wargach. Długo tam, długo trwała pierwsza rozmowa, w której całe swe dzieje zebrać musiał Ordyński, a gdy przyszło do Maciejowickiej bitwy, szczegółów o niej nastarczyć mu nie mógł.

W kilka dni potem, po mszy św. w kościele kapucynów, ten sam starzec błogosławił wzruszony Annie i Michałowi, a nauki które był dla nich przygotował, lzy mu i uczucie dokończyć nie dały.

Po ślubie, Anna oddała zdziwionemu Ordyńskiemu akt nabycia Głuszy i pożegnawszy staruszka, który nadrabiał fantazją i uśmiechając się krzyżyki za niemi kreślił, wyjechali na Wołyn oboje.

Ze smutkiem jakimś ujrzeni przed sobą tę ruinę tylu wspomnień pełną, i łzy znowu dobyły się gdy ujrzeni straszliwe zmiany jakie wprędce czas i ludzie dokonali. Oboje z Anną pocieszali się wśród tego zniszczenia, wskazując sobie miejsca gdzie w dzieciństwie bawili się razem, ławkę na której siadała z niemi starościna, drzewa pod którymi były ich dziecinne ogródki.

W tej bez-pańskiej pustce ledwie się dowołało człowieka z kluczami, i weszli naprzód modlić się do pokojów starościnej.

Tę, nie wiem jakim trafem poszanowane, nie tknięte, pozostały prawie jak były, gdy Anna z ojcem opuszczała Głuszę. Znaleźli jeszcze stare krzesło z poduszkami przy stole okrytym pyłem, i kilka sprzączek staruszki. Na ścianie, z przestrachem prawie, ujrzał Michał wiszący obraz swego patrona, który tu Anna po nabyciu zaraz przesłała; ale przestrach ten powiększył się jeszcze gdy zbliżywszy się ujrzał że twarz szatana, co go tak przerażała, znikła... Lucyfer leżał z głową odwróconą, i dwa tylko czarne rogi sterczące na niej, z ciemnego tła wystawały. Na obrazie wszakże nie było śladu poprawy, zamalowania, restauracji; milcząc przeszli i skierowali się ku pałacowi.

Na progu znów zacofali się oboje. — Śliczny ten salon, gabinety, pokoje, poodzierane, poobijane, zaciekle, bez posadzek, nagie, wyglądały jak po wojnie, choć ich nieprzyjaciel nie dotknął. Tylko resztki bogów Olimpu i tancerek herkulańskich skakały jeszcze na ścianach, jedni bez nóg, bez głów drudzy... W pośrodku samym, na słomianych matach, suszył ktoś sobie owoce.

Ani śladu bogatych sprzętów, kosztowności i dzieł sztuki. W galerji wisiały krzywo kilka ram potłuczonych, a w muzeum stał pogięty szaflik blaszany, w bibliotece trochę okładek, pulki niecałe i garściami pyłu znaleźli. Oranżerja zmieniła się w jakiś skład gratów zatęchły, tylko na końcu jej jakimś osobliwym trafem ocalały resztki przyborów, które ustawił Labe Poinso na przyjęcie królewskie. Nikt ich ztamtąd nie ruszył. Na ścianie nawet wisiał jeszcze jeden wyschły wieniec, żółty, zapyłony i szydersko zmalący.

— Chodźmy ztąd kochana Anno! — rzekł Ordyński — co przeszło nie powróci! my myślimy byśmy sobie nowe i trwalsze zbudowali jutro, łzy nasze nie odżywią tego co na wieki umarło!!

1853–1854, Hubin–Żytomierz.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/kraszewski-diabel-tom-iv/>

Tekst opracowany na podstawie: Kraszewski, Józef Ignacy, *Djabeł: powieść z czasów Stanisława Augusta*, tom IV, Lwów: Gubrynowicz i Schmidt; Warszawa: M. Glücksberg, 1873 ([Lwów]: K. Piller)

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0423-4

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).